



Marion Lennox



***Więcej niż
pielęgniarka***

Tytuł oryginału: The Surgeons Doorstep Baby

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dla Blake'a Samforda, chirurga ortopedy w jednym z prestiżowych szpitali w Sydney, nocne wezwania do nagłych przypadków nie były niczym nowym.

Teraz jednak wracał do zdrowia na farmie swojego ojca, dwieście mil od Sydney. Nie spodziewał się takich wezwań. Nie spodziewał się dziecka.

Maggie Tilden lubiła leżeć w ciemnościach i wsłuchiwać się w bębnienie deszczu w blaszany dach.

Dobrze mieć takie wielkie łóżce tylko dla siebie. Wynajmowała to mieszkanie w siedlisku Corella View od pół roku i upajała się każdą chwilą panującej tam ciszy.

Jakie to szczęście móc się rozkoszować wolnością. Nawet nie przejmowała się powodzią. Tego popołudnia służby zdecydowały, że stary drewniany most trzeszczący pod naporem wezbranej rzeki nie jest bezpieczny. Zagrodzono go taśmą i od tej chwili dolina była odcięta od świata.

Gdy zagrzmiało, Tip, młody owczarek collie, za – skomlał, podczołgując się bliżej łóżka.

– Spokojnie, chłopaki – powiedziała, gdy starszy Blackie poszedł w jego ślady. – Jesteśmy bezpieczni, mamy sucho i duży zapas karmy dla psów. Nic więcej nam nie trzeba.

Nagle przez bębnienie deszczu usłyszała warkot silnika. Ktoś przejeżdża przez most? Objechał blokadę? Chyba oszalał. Ale most wytrzymał, bo chwilę później, już na mniejszych obrotach, auto wjechało na asfaltową nawierzchnię. Spodziewała się, że pojedzie dalej. Ale nie, skręcił

na parking pod siedliskiem.

Gdyby nadjechało z przeciwnej strony, natychmiast wyskoczyłaby z łóżka, spodziewając się tragedii. Była jedyną osobą z wykształceniem medycznym na tym brzegu rzeki, ale auto przyjechało z drugiego brzegu, gdzie znajdował się szpital.

Ostatnio sporo zgryzoty przysparzał jej Pete, jej nastoletni zbuntowany brat, który zadawał się z podejrzanymi koleżkami. Ten samochód... strach pomyśleć.

To jednak nie Pete ani nieszczęśliwy wypadek. Mimo to wstała i sięgnęła po szlafrok. Może to ktoś do właściciela siedliska? O północy?

Nie znała Blake'a Samforda, bo wraz z matką opuścił dolinę we wczesnym dzieciństwie i od tej pory praktycznie się nie pokazywał. Tym razem jego pobyt był wyjątkowo długi, bo trwał już trzy dni. Poinformował ją, że dochodzi do siebie po zapaleniu wyrostka oraz że przy tej okazji zbiera dokumenty, by wystawić farmę i dom na sprzedaż. Ostrzegła go, że rzeka wzbiera, ale wzruszył ramionami.

– Jak już gdzieś utknąć, to na dobre.

Jeśli ma teraz gości, to utkną razem z nim.

Może to kobieta, pomyślała, słysząc odgłos kroków zmierzających w stronę drzwi Blake'a. Kobieta zdolna ryzykować życie, by dotrzeć do ukochanego?

Właściwie nikt nic o nim nie wie. Jako mała dziewczynka widziała go tylko kilka razy, ale wiele lat później, gdy stary Samford zachorował, Blake go nie odwiedzał, co nikogo nie dziwiło, bo wśród miejscowych Ben Samford nie cieszył się sympatią.

Spotkała go dopiero na pogrzebie Bena. Poszła na ten pogrzeb, ponieważ jako pielęgniarka przez kilka miesięcy choroby odwiedzała go

codziennie. Mimo fatalnej opinii dbał o psy, więc wmawiała sobie, że nie jest złym człowiekiem. Przy okazji pogrzebu chciała z jego synem porozmawiać o psach. Zauważyła, że podczas ceremonii Blake trzymał się z boku, jakby chciał szybko mieć to za sobą. Rozumiała go, bo zważywszy na to, jaki był Bob Samford, wydawało się dziwne, że syn w ogóle przyjechał.

Miała pewien pomysł, który wymagał zgody Blake'a. Przedstawiwszy mu swoje referencje, zaproponowała, że w zamian za wynajem stróżówki na tyłach domu zaopiekuje się farmą, psami oraz bydłem ojca, którym aktualnie zajmował się sąsiad, leciwy Harold Stubbs.

Trzy dni później dostała umowę najmu, a Blake od tamtej pory się nie pokazał. Do dziś, kiedy przyjechał sprzedać farmę. Już rozglądała się za innym lokum, bo za nic w świecie nie chciała wracać do swoich. Teraz jednak zastanawiała się, jaki wariat zdecydował się jechać przez most. Słyszała, że samochód stoi z niewyłączonym silnikiem, potem ktoś zaczął walić w drzwi. Psy oszalały, a moment później kroki się oddaliły.

Trzasnęły drzwi auta, zawył silnik i auto oddaliło się tam, skąd przyjechało. Wstrzymała oddech, czekając, czy pokona most. Udało się. Odetchnęła.

O co chodzi? Młodzieńczy wygłup?

Nie jej sprawa, ale Blake'a. No nie, jej sprawa, dopóki dom nie jest sprzedany. Wróciła do łóżka. Sama.

Niczego więcej nie pragnęła, jak być sama.

Za ścianą Blake też nasłuchiwał. I też uznał za wariata śmiałka, który przejechał mostem. Razem z lokatorką, Maggie Tilden, poprzedniego dnia uważnie obejrzelik most. Zmyte pnie drzew i gałęzie napierały na podpory.

– Jak chcesz stąd wyjechać, to zrób to zaraz – doradziła mu – bo zaraz go zamkną.

Czy to ważne? Dostał zwolnienie na trzy tygodnie. Musi też uporządkować rzeczy ojca.

– Rób jak uważasz – dodała, jakby i jej było wszystko jedno, po czym wróciła z psami do swojej części domu.

Zdystansowana, to dobrze, pomyślał, ale to pukanie o północy? Kierowca, który przejeżdża przez zagrożony most... Jakiś jej narwany kumpel, który coś zostawił pod niewłaściwymi drzwiami?

Słyszał jazgot psów, domyślił się, że je uspokaja. Oczekiwał, że przyjdzie, by sprawdzić, co się stało.

Nie przyszła. Zapomnij, wracaj do łóżka.

Może by jednak otworzyć drzwi i upewnić się, że wszystko w porządku? Dobra. Otworzył drzwi wejściowe i o mało się nie potknął. Różowe i miękkie zawiniątko...

Odsunął róg kocyka. Maleńkie usteczka, perkaty nosek i duże ciemne oczy. Noworodek! Na jego progu!

Bez namysłu wziął dziecko na ręce, spoglądając w mrok, jakby chciał jeszcze dostrzec ten samochód, poznać jakieś wyjaśnienie. Noworodek...

Nigdy nie miał do czynienia z niemowlętami. Po raz ostatni na studiach. Nagle obudziło się w nim wspomnienie sprzed trzydziestu, a może nawet trzydziestu kilku lat. To wydarzyło się w tym samym holu.

Pewna kobieta postawiła przy drzwiach koszyk, a w nim malutkie dziecko. Spojrzała na Blake'a i powiedziała:

– Przyniosłam mu siostrzyczkę.

Niewiele zapamiętał, co było potem. Tyle tylko, że między dorosłymi doszło do awantury. Miał sześć lat, więc przykucnął przy koszyku. Niemowlę płakało, ale dorośli to ignorowali. Siostrzyczka?

Tego wieczoru matka dowiedziała się, że ojciec ma kochankę.

Przyrodniej siostry i tamtej kobiety już więcej nie widział.

To dziecko nie ma z nim nic wspólnego, więc dlaczego przypomniało mu się tamto? Powinien zadzwonić na policję, zgłosić podrzucenie noworodka. Nagle przypomniał sobie, że jego lokatorka jest położną. Odetchnął z ulgą. Niewykluczone, że opiekowała się ciążą tej kobiety.

– Hej – zwrócił się do zawiniątka – pomyliłeś drzwi. Zaraz zaniemiemy cię do kogoś, kto zna się na dzieciach. Miejmy nadzieję, że ten ktoś weźmie na siebie odpowiedzialność za twój los.

Maggie już zasypiała, gdy ktoś zapukał, a psy znowu zaczęły ujadać. O co chodzi?!

Miała za sobą wyczerpujący dzień. Od rana przewoziła sprzęt ratunkowy ze szpitala, by się zorganizować przed zamknięciem mostu, a także odwiedziła swoje ciężarne na podtopionych farmach. Była wykończona.

Może to kolejne ostrzeżenie o ewakuacji? Żeby uciekać, zanim most zniknie pod wodą? Corella View stoi na wzgórzu. Najgorsze, co może ją spotkać, to to, że most się zawali, elektryczność zostanie odcięta, a ona będzie przez kilka dni zdana na staroświecką lodówkę na naftę.

Znowu pukanie. Nagle nad irytacją górę wziął strach. Ma ośmioro rodzeństwa, a dwóm najmłodszym braciom różne głupie rzeczy strzelają do głowy. Pete... A jeżeli...?

Jeżeli ten ktoś przyjechał z wiadomością? Wstań i mu otwórz. W holu stał Blake Samford. Z dzieckiem.

– To chyba dla ciebie.

Przygarnęła zawiniątka instynktownie jak wszystkie inne niemowlęta, po czym spojrzała na Blake'a. Wyglądał niemal złowrogo. Miał prawie dwa metry wzrostu, szerokie ramiona, ciemne oczy i czarne włosy. Wysoki,

mroczny i groźny. Skojarzył się jej z Heathcliffem. Przeraziła się. Ktoś jej podaje niemowlę w środku nocy, a ona myśli o powieściach!

Psy powarkiwały. Znały go od trzech dni, ale nadal miały za obcego. Poza tym nie wiedziały, co kryje się w zawiniątku w ramionach ich pani.

– Jak mam to rozumieć? – Starła się, by zabrzmiało to naturalnie, jakby wpadł oddać jej szklanekę cukru. Nie chciała przestraszyć ani psów, ani dziecka.

– Ktoś się pomylił. Jesteś położną, więc podejrzewam, że chciał je oddać w twoje ręce.

– Kto je podrzucił? – Odchyliła kocyk. Śliczne.

Uwielbiała niemowlęta, chociaż nie powinna, bo ma tyle dzieciaków, że wystarczy jej na całe życie. Ale nareszcie ma porządną pracę. Potrafi kochać dzieci.

– Nie mam pojęcia, kto je podrzucił – odparł cierpliwie. – Nie słyszałaś tego samochodu? Ktoś podjechał pod dom, podrzucił dziecko i odjechał.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Porzucone dziecko.

– Kim jesteś? – szepnęła. W odpowiedzi mały człowieczek zmarszczył nos, otworzył buzię i żałośnie zapłakał.

Małe dziecko tak nie płacze. Był to płacz istoty bezgranicznie zrozpaczonej. Maggie nieraz słyszała płacz głodnych maluchów, ale nie aż tak przejmujący.

Zapadnięte ciemiączko, sucha lekko pomarszczona skóra: klasyczne objawy odwodnienia. Kroplówka?

Jeśli maleństwo ma jeszcze siłę płakać...

– Możesz przynieść moją torbę z samochodu? – Rzuciła mu kluczyki. – Ono ma problemy.

– Jakie problemy?

Podeszła do kominka, który jeszcze nie wygasł. Można malucha odkryć bez ryzyka wychłodzenia.

– Do kosza! – krzyknęła do psów, które potulnie się położyły na swoich miejscach przy kominku.

Blake wyraźnie się wahał, więc warknęła:

– Torba, i to już.

Lekko oszołomiony ruszył po jej torbę.

Ilekcroć widywał Maggie Tilden, wydawała mu się całkiem zwyczajna. Do pracy, a pracowała przez cały dzień, wkładała czarne spodnie i białą bluzkę z emblematem służb medycznych. Minimalny makijaż i włosy ściągnięte w koński ogon. Drobna, piegowata... po prostu nijaka. Teraz zdecydowanie nie była nijaka. Ładna?

Nie... to coś więcej. Zachwycająca?

Zupełnie inna niż reszta jego kobiet. Ciepła i serdeczna, a jednocześnie silna. Stanowcze spojrzenie, jakie mu rzuciła, kazało mu natychmiast przynieść torbę.

Nie wie, że jestem lekarzem, pomyślał. Gdy maluch zapłakał, on też wiedział, że jest z nim niedobrze. Mimo mdłego światła na ganku zauważył objawy odwodnienia i niedożywienia.

Maggie zareagowała zgodnie z jego oczekiwaniami. Nawet gdyby potrzebowała jego pomocy, dzieciak nie jest jego problemem. Niech ona weźmie na siebie tę odpowiedzialność. To jej praca.

Przynieś torbę! Spora walizka z blatem do pisania stała w bagażniku poobijanego kombi. Chwycił za rączkę i aż jęknął. Ważyła ze sto kilo. Zapas leków dla całej doliny? Jakim cudem taka drobna istota jak Maggie może ją udźwignąć?

Po operacji wyrostka był osłabiony. Kiedy poczuł, że naciągają się wewnętrzne szwy, przypomniał sobie o konsekwencjach... i ruszył do komórki po taczkę.

Priorytet natury medycznej. Gdyby szwy puściły, byłby bezużyteczny. Gorzej, sam potrzebowałby pomocy.

– Jestem po zapaleniu wyrostka – wyjaśnił, gdy go zobaczyła. – Szwy. Chyba nie chcesz mieć dwóch pacjentów.

O kurczę. Przecież on dochodzi do siebie po operacji.

– Spokojnie – rzekł, widząc jej speszoną minę. – Pod warunkiem że nie masz nic przeciwko śladom na dywanie.

– Jak się ma taką rodzinę jak moja, nie zwraca się uwagi na drobiazgi. Nic ci nie jest?

– Nic a nic.

Omiotła go badawczym spojrzeniem.

– Zrobisz mieszankę, jeśli ci powiem jak? Maluch jest bardzo odwodniony.

– Mogę zobaczyć?

Dziecko nie przestawało głośno płakać. Prawdziwa kupka nieszczęścia. Odsunął kocyk. Najwyraźniej Mag – gie już je zbadała, ale nie zmieniła pieluszki, a jedynie rozpięła brudne śpioszki, po czym owinęła tym samym kocykiem, przykrywając kaszmirowym szalem, który wcześniej zauważył na oparciu kanapy.

Jego oczom ukazały się wszystkie oznaki zaniedbania. Tak, dziecko jest odwodnione. Trzeba je umyć i przewinąć, ale najpierw należy podać mu płyny, najlepiej doustnie.

– Mów, gdzie i jak.

Pięć minut później wręczył Maggie butelkę z mieszanką, a ona podała ją

dziecku, które przyssało się do smoczka. Zapadła głucha cisza. Nawet psy westchnęły z ulgą.

– Udało ci się uniknąć ewakuacji, szpitala i kroplówek. Zobaczmy teraz, co tu mamy – szeptała Maggie, po czym podniosła wzrok na Blake'a. – Czy należysz do tych odważnych mężczyzn, którzy potrafią zmienić pieluchę? Nie przewijam dziecka w trakcie karmienia, ale ta pielucha już prawie sama chodzi. Trzeba ją zdjąć. No i zobaczmy, z kim mamy do czynienia.

Imperatyw medyczny. Wolałby dziecko karmić, ale się spóźnił, więc przypadł mu drugi koniec. Jesteś chirurgiem przywykłym do obrzydliwych widoków.

– Przygotuj sobie miskę z ciepłą wodą z mydłem. Miska jest w szafce po lewej stronie kuchenki. Z łazienki weź dwa czyste ręczniki, a z mojej torby niebieską butelkę z niemowlęcą pupą na etykiecie.

Bez entuzjazmu wyszedł z pokoju. Przewinąć malucha. Pewnie kiedyś i tak musiałby się tego nauczyć. Kiedyś, w odległej przyszłości, być może zdecydują się z Miriam na dziecko. Pracują razem, a na boku romansują. Miriam nie chce się wiązać, on też ma wątpliwości.

Czuł, że po wydarzeniach tej nocy przybiorą na sile.

– Ojej! Woda, pielucha, i to szybko! – zawołała Maggie.

– Już się robi, siostrze!

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy zdjął pieluszkę, pod warstwą brudu odkryli, że to dziewczynka.

– Chyba od kilku dni nie była przewijana – przeraziła się Maggie.

Gdy zdjął śpioszki, aż go zatkało. *Talipes equinovarus*. Stopa końsko – szpotawa. Obydwie stopy skierowane do środka, niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Zrobiło mu się niedobrze, ale nie z powodu pieluchy. Jak można porzucić takie dziecko? Zostawić je na czyimś progu? Skąd ci ludzie wiedzieli, że Maggie będzie w domu? Skąd mieli pewność, że psy nie zrobią dziewczynce krzywdy?

Ktoś chciał się pozbyć niedoskonałego dziecka, więc podrzucił je położnej, ale czy ona będzie w domu, czy nie, było mu obojętne. W oczach Maggie wyczytał złość, oburzenie oraz przerażenie, i to nie z powodu krzywych stopek, ale tego potwora, tak zdesperowanego, że przejechał przez zagrożony most, by pozbyć się dziecka.

– To na pewno facet prowadził ten samochód – szepnęła Maggie.

Seksizm? W milczeniu obmywał dziecko, które nadal ssało, ale było już o krok od zaśnięcia. Maggie obserwowała, jak badał małą, jej stopki, puls, każdy centymetr ciała. zaproponował, by zanurzyli ją w ciepłej wodzie, żeby ją całą umyć.

– Jesteś lekarzem – stwierdziła Maggie.

– Ortopedą.

– To znaczy, że rzadko masz do czynienia z niemowlętami. – Przytaknął. – Ale ze stopami często?

– Tak.

Uśmiechnęła się, lekko ale... ładnie.

Kojąco, uznał. Nagle pojął, że taką kobietę chciałby mieć przy sobie w chwilach kryzysu.

Uśmiech Maggie jest nieważny, najważniejsza jest ta istotka. Ostrożnie przejął ją od Maggie i zanurzył w ciepłej wodzie. Najedzona i umyta sprawiała wrażenie zrelaksowanej. Walczyła o życie i przegrywała tę walkę, ale teraz przed kominkiem Maggie już nic jej nie zagraża. Podniósł wzrok na Maggie. Znowu się uśmiechnęła. Tak, ta kobieta jest gwarancją bezpieczeństwa.

Dobrze, że tę małą porzucono właśnie tutaj. Maggie się nią zaopiekuje. Zerknął na psy. Psy jego ojca. Kiedy po raz ostatni odwiedził go pół roku przed śmiercią, były wychudzone i zaniedbane. Uznał wtedy, że nie może zabrać ich do miasta.

Ojciec nie chciał go widzieć, prawdę mówiąc, wrzeszczał, by się wynosił. I powiedział, że psy to nie jego interes. Mimo protestów ojca zadzwonił do miejscowego szpitala z prośbą o domowe wizyty pielęgniarki.

To Maggie opiekowała się ojcem oraz psami, a gdy ojciec umarł, zaproponowała, że zaopiekuje się też całym gospodarstwem. To rozwiązało dwa problemy: psów oraz domu. Umie rozwiązywać problemy.

Kąpiąc dziecko, Maggie zauważyła siniak na ramieniu. Siniak w tym wieku? Ktoś ją upuścił? Uderzył?

– Na dnie torby są ubranka dla dzieci – oznajmiła, nie odrywając wzroku od małej. – I pieluszki. Możesz je wyjąć?

Gdy Maggie wytarła małą i nałożyła emulsję na odparzenia, Blake jeszcze raz obejrzał jej stopy.

– Leczenie należałoby zacząć już teraz – orzekł – dopóki tkanki są miękkie i plastyczne. Im dłużej będziemy zwlekać, tym dłużej to potrwa.

– Tylko raz widziałam coś takiego – odezwała się Maggie. – I nie tak poważną deformację.

– To bardzo poważna deformacja, ale do naprawienia.

– Mam aparat rentgenowski w gabinecie... na plebanii – rzuciła nieśmiało. – Żebym mogła odróżnić złamania typu „zielona gałązka” od takich, które wymagają ewakuacji.

– Teraz nie będziemy jej prześwietlać. Czeka ją długie leczenie.

– Wolałabym nie wzywać służb ratunkowych, jeśli to nie jest konieczne. – Przygryzła wargę. – Mają pełne ręce roboty przy ewakuacji, poza tym przy takich opadach lądowanie śmigłowca jest ryzykowne.

– Nie ma pośpiechu.

– Wobec tego jutro będziemy się tym martwić. – Ubierała maleństwo tak delikatnie, że Blake'owi skojarzyło się to z pieśczołą. Na koniec owinęła je kaszmirowym szalem i mu podała. Wziął je, po czym usiadł przed kominkiem.

Ta kobieta to uosobienie spokoju, pomyślał. Metodyczna, opanowana. Ile kobiet potrafiłoby ot, tak wziąć dziecko i dać mu to, czego potrzebuje? W ciągu jednej godziny wyprowadzić ze stanu zagrożenia?

Ona jest położną i na tym polega jej praca. Właśnie wkłada butelki, mieszankę, pieluszki do koszyka.

Koszyk? Otrząsnął się. Co jest...?

– Chcesz ją zabrać do szpitala? – zapytał. – Ja przez ten most nie pojedę.

– Ani ja. – Postawiła koszyk obok niego. – Dobrze wygląda, no może nie za bardzo, bo jest zaniedbana i niedożywiona, ale nie dzieje się nic, co by wymagało takiego ryzyka. U ciebie będzie jej dobrze. W koszyku jest wszystko, co może ci się przydać.

- U mnie?
- U ciebie. Tej nocy jest twoja.
- Nie chcę.
- Myślisz, że ja chcę?
- Przynieśli ją tobie.
- Nie. Tobie. Gdybym uważała, że sobie nie poradzisz, włączyłabym się, to jasne. W każdej chwili możesz zapytać mnie o radę. Ale ona jest twoja.
- O czym ty mówisz?! Jesteś położną.
- To nie ma żadnego związku z moim zawodem. Znalazłam to, jak wyszedłeś do kuchni.

List napisany pośpiesznie na rozerwanej kopercie. Wręczyła mu go bez słowa.

„Drogi bracie!

Ojciec umarł. Nigdy nic dla mnie nie zrobił. Nigdy! Jesteś ślubnym dzieckiem, tym, które dostało wszystko. Masz farmę, to masz i dziecko. Wnuczkę twojego i mojego ojca. Nie chcę takiego dziecka, popatrz na jej stopy. Sam i ja nie możemy na to patrzeć. Dałam jej na imię Ruby po mamie mojej matki, po mojej babci. Tylko ona się mną opiekowała, ale to było dawno, zanim zobaczyłam te okropne stopy. Nie chcę kalekiego dziecka. Możesz dać jej inne imię, przekazać do adopcji – zrób z nią, co zechcesz. Wybieramy się z Samem do Perth, więc gdybyś potrzebował mojego podpisu na dokumentach adopcyjnych, umieść ogłoszenie w gazecie lokalnej Margaret River. Jak je przeczytam, to się skontaktuje Być może. Wendy”.

Milczeli bardzo długo.

- Wendy? – odezwała się w końcu Maggie.
- Moja... przyrodnia siostra. – Zbierał myśli. – Owoc któregoś z romansów ojca.

– Jakie ma nazwisko?

– Nie mam pojęcia.

– Uff... – Spoglądała na niego ze spokojem i współczuciem. – Szok.

– Owszem.

– Myślę, że będzie spała bardzo długo. Gdybyś potrzebował pomocy, pamiętaj, że jestem przez ścianę.

– To nie moje dziecko. – Powiedział to z takim naciskiem, że mała Ruby otworzyła oczy i wbiła w niego wzrok. Chwilę później opuściła powieki i ponownie zasnęła. Było jej sucho i ciepło, czuła się bezpiecznie. – To nie moje dziecko – powtórzył, chociaż całkiem niepotrzebnie, bo ktoś musiał zająć się małą.

– Blake, jestem pielęgniarką, nie rodzicem. Ty też nie jesteś rodzicem, ale jesteś jej wujkiem. Siostra powierzyła ją tobie. Jesteś jej rodziną. Daj znać, gdybyś miał problem. – Otworzyła drzwi. – Masz wszystko, co waru w nocy może być potrzebne. Rano do was wpadnę.

– Ja nie mam pojęcia o noworodkach – bronił się.

– Jesteś lekarzem, więc pojęcie masz.

– Ale nie o opiece nad nimi.

– Jeżeli potrafią to piętnastolatki, to i ty potrafisz. To nie operacja mózgu.

– Nie jestem piętnastolatką. I jestem po operacji.

– Piętnastolatki po cesarskim cięciu też sobie radzą. Porównaj wagę noworodka i wyrostka. To cię tylko wzmocni.

Patrząc mu w oczy, uśmiechnęła się. Niby ze współczuciem, ale za nim kryło się zdecydowanie.

Trzymała otwarte drzwi. Nadal się uśmiechała, ale odmawiała mu prawa do wyboru. Po raz ostatni omiół wzrokiem tę nieugiętą pielęgniarkę,

buzujący kominek, śpiące psy, tę nieznaną mu scenkę rodzinną, i z cichym westchnieniem pogodził się z myślą, że nie ma wyboru.

Wyszedł. Ze... swoim dzieckiem?

Nie powinna była tak postąpić. Spoglądała na drzwi niczym na oskarżyciela w sądzie. Jest winna porzucenia bezbronnego dziecka...

Oddała je jego wujowi. Lekarzowi.

Facetowi, który dochodzi do siebie po operacji.

Który mimo to był w stanie przyjechać do doliny aż z Sydney, komuś, kto doskonale poradzi sobie z niemowlęciem.

To jego dziecko, nie jej. I nie jej problem. Ona udziela pomocy dzieciom z problemami, po czym je zwraca opiekunom. Naopiekowała się wystarczająco dużo.

Popatrzyła na żar w kominku. Mój kominek.

Włożyła dużo wysiłku, by w Corella Valley znaleźć dla siebie lokum, tym bardziej że niewiele było tam mieszkań do wynajęcia, a ona miała mało pieniędzy. Heroicznym wysiłkiem woli zebrała się na odwagę, by po pogrzebie starego Samforda zaproponować Blake'owi opiekę nad jego nieruchomością. Gdy się zgodził, mało nie pękła z radości.

Reszta jej rodziny nadal mieszka niedaleko, po tej samej stronie rzeki. Pomagała im zawsze, kiedy trzeba, ale nie będzie pomagać wszystkim potrzebującym. Dla Blake'a nie będzie „naszą kochaną Maggie”. Ruby to problem Blake'a, jego krewna. Ma ją pokochać albo zorganizować jej przyszłość gdzie indziej.

Gdyby uległa jego rozpaczliwym spojrzeniom, mała zostałaby z nią, a ona znowu by się skazała na brak wzajemności. Ćwiczyła to od dziecka.

„Dzisiaj zostaniesz w domu, żeby doglądać brata. Tak, jest chory, ale wyjeżdżamy z ojcem na dwa dni do Nimbin na festiwal... Dobra z ciebie

dziewczyna”.

Para nierobów szarpidrutów z dziewiątką dzieci, w tym Maggie, która jako najstarsza opiekowała się resztą rodzeństwa. Nie weźmie na siebie dodatkowej odpowiedzialności, nie ma mowy. Ma dwa psy i mieszkanie. Nie weźmie dziecka Blake’a.

Blake zrobił dla śpiącej Ruby łóżeczko w szufladzie wyjętej z biurka i wyłożonej kołdrą.

Przez długą chwilę stał i na nią patrzył. Wystarczyły dwie godziny, by zaszła w niej zmiana. Objawy odwodnienia ustępowały, a policzki już lekko się zaróżowiły. Chyba jest w stresie od samego porodu, pomyślał. Spała tak mocno, jakby nie chciała się budzić, bo na jawie jest strasznie, samotnie i trudno.

Za dużo sobie wyobraża. Przecież nie wie, co ją spotkało. Nie obchodzi go ten maluch. Gdy tylko powódź ustąpi, przekaże go odpowiednim instytucjom. Ale nim to się stanie... Maggie powinna się nią zająć. Przecież na co dzień zajmuje się małymi dziećmi.

Jednak Maggie jest nieugięta. „To nie mój problem”, powiedziała i potwierdziła to swoim zachowaniem.

Odprawiła go wraz z jego siostrzenicą. Jego?

Nie czuł, że ma siostrę. Widział ją tylko raz, kiedy był niewiele starszy od Ruby. Wrzask dwóch kobiet, pogrożki ojca, płacz dziecka. Pamięta, że pomyślał wtedy: „Dlaczego oni jej nie uciszą, nie wezmą na ręce?”. Miał tylko sześć lat i zabrakło mu odwagi, by to zrobić. Sam bardzo chciał, by ktoś go przytulił. Był za mały, żeby zająć się dzieckiem. Czy teraz jest już odpowiednio duży? Nie czuł tego.

Pomyślał o jej stopkach. To może zrobić. Naprawianie zdeformowanych kończyn to jego specjalność.

Gdy zadzwonił telefon, z ulgą sięgnął po słuchawkę. To Maggie, zmieniła zdanie.

Nie była to Maggie, lecz Miriam. Nie zauważyła, że Blake jest myślami gdzie indziej. Zapytała o powódź, więc ja poinformowałam, że most został zamknięty, ale on jest bezpieczny, więc niech się o niego nie niepokoi. I bez tego by się nie przejęła. Wiedziała, że sam sobie poradzi.

Wiedziała o nim prawie wszystko. Od lat razem pracowali, spotykali się po pracy, być może przemyśleli o ślubie. Za moment Miriam dozna szoku.

– Mam dziecko – powiedział.

Miriam milczała dłuższą chwilę.

– Szybko. Wyjechałeś z Sydney w piątek. Zdążyłeś poderwać jakąś dziewczynę i już jest dziecko – zachichotała, poważniejąc, gdy nie zareagował. – Chyba nie mówisz serio.

Zrelacjonował jej wydarzenia tej nocy, opowiedział o Maggie oraz liście, o tym, że zdecydowali się nie ewakuować dziecka do szpitala. Zorientował się, że Miriam jest zła na nieznaną jej pielęgniarkę.

– Wcisnęła ci je?

– Chyba tak.

– To ty wciśnij jej tego dzieciaka z powrotem. I to szybko. Musi się nim zająć. Przecież jest pielęgniarką. To tak, jakby przyszedł do ciebie człowiek ze złamaną nogą, a ty byś odmówił mu pomocy.

– Ona pomogła. Wykąpała małą i nakarmiła.

– Małą?

– Tę dziewczynkę. Małą Ruby.

– Ani się waż angażować! – syknęła Miriam. – Ona tylko na to czeka.

Że zmięknie.

– Nie zmiękne.

– Ja to wiem, ale czy ona wie? Ta pielęgniarka. A ta siostra, o której nigdy mi nie mówiłeś, kto to jest?

– Wiem tylko, że ma na imię Wendy. Nie mogę być miękki dla kogoś, kogo nie znam.

– Więc skontaktuj się z władzami. Zaraz, bo jak zamkną most...

– Już go zamknęli.

– To jak oni się do was dostali?

– Ryzykując życie, przejechali obok zapory.

– Aha. Nie chcę, żebyś tak ryzykował. Musisz poczekać do rana, ale wtedy wezwij śmigłowiec.

– Mim, ona nie jest chora.

– To nie twoja broszka – zachnęła się. – 1 nie nazywaj mnie Mim. Wezwij policję, powiedz, że ktoś podrzucił ci na progu noworodka i niech policja się nią zajmie.

– To jest wnuczka mojego ojca, moja... siostrzenica.

– Mam rozumieć, że chcesz ją zatrzymać?!

– Nie! – Przez cały czas obserwował Ruby. Wysunęła rączkę spod szala i włożyła ją do buzi. Te paluszki są jej pociechą, pomyślał. Ciekawe, ile razy ich potrzebowała w ciągu tych kilku tygodni. Nie twój problem.

To twoja siostrzenica, wnuczka ojca.

Nienawidził ojca. Opuścił go w wieku sześciu lat i od tamtej pory, jeszcze w dzieciństwie, odwiedził ze dwa razy, zgodnie z wyrokiem sądu. Obydwie wizyty okazały się koszmarne. Ojciec był chamem i despota.

Maggie poznała go lepiej. Dopatrzyła się w nim czegoś więcej? Trzeba będzie ją o to zapytać.

– Odniesz dzieciaka pielęgniarce – nalegała Miriam – i wytłumacz, że to

jej zawodowy obowiązek. Mógłbyś jej zagrozić... że zostanie skreślona z rejestru.

– Za to, że oddała dziecko rodzinie?

– Nie jesteś jej rodziną.

– Ma tylko mnie.

– Ma też rodziców. Jutro policja ich znajdzie, a ty tymczasem naciskaj na pielęgniarkę. Blake, jesteś po operacji. Niepotrzebne ci to zamieszanie. Okej, niedopełnienie obowiązków może nie jest najlepszym pomysłem, ale są inne sposoby. Możesz jej zagrozić, że wyrzucisz ją na bruk.

– Mim...

– Rób, co do ciebie należy – mruknęła. – Kochanie, zadzwoniłam, żeby ci opowiedzieć o swoim referacie. Czy wreszcie mnie wysłuchasz?

– Oczywiście.

To mu pomoże zapomnieć o tej małej nieznanym, której jutro już tu nie będzie. I o kobiecie, która nie chciała jej wziąć. O Maggie. Dlaczego o niej myśli?

Przypomniała mu się rozmowa na cmentarzu. Lało wtedy jak z cebra. Maggie podeszła i osłoniła go ogromnym parasolem. Dopiero wtedy poczuł się uczestnikiem tego ponurego rytuału. Gdy bez wahania przystał na jej propozycję, uśmiechnęła się radośnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Nie będziesz żałował, a ja i psy będziemy zachwyceni. – Zawahała się, spojrzawszy na mężczyzn zasypujących grób. – Twój ojciec był wyjątkowo surowym człowiekiem. Współczuję ci.

Ona rozumie, pomyślał. Czy rozumieją to ci ludzie? Że jego i ojca nic nie łączyło? Nie czuli się rodziną.

Rodzina... Matka wiązała się jeszcze kilka razy, ale zawsze kończyło się to katastrofą. Od kogo miał się nauczyć, co to znaczy „rodzina”? Teraz...

Słuchał Miriam, przyglądając się śpiącemu dziecku. Czy kiedyś zdecydują się z Miriam na dziecko? Założą rodzinę? Nie czas o to pytać. Skrzywił się, zdawszy sobie sprawę, że w ogóle jej nie słucha.

Skup się. Zrób, jak ci radzi twoja kobieta. Skup się na medycynie, nie na dziecku. Jutro oddasz je Maggie albo uwolnisz się od niego w inny sposób.

Maggie jest tuż za ścianą. Być może nawet słyszy połowę rozmowy z Miriam. Olej to. Olej Maggie. Dziecko też? Porusz niebo i ziemię.

Gdyby tylko nie ssała rączki, gdyby jej widok nie ścisnął go za serce aż tak bardzo... Nagle pojawił się ból, którego doświadczył w wieku sześciu lat, do tej pory nie ustąpił.

Ruby jest wnuczką ojca, dzieckiem przyrodniej siostry. Rodzina? Nachodzą go takie myśli, bo dochodzi do siebie po operacji. Jest zmęczony i słabszy, niż mu się wydaje. I znalazł się w domu, z którego wyniósł tylko złe wspomnienia.

Z zawiścią spoglądał na pogrążoną we śnie Ruby, zazdrozcząc jej niepamięci.

On też się poczuł... straszliwie samotny. Gdyby nie blokada mostu, być może poprosiłby Miriam, by do niego przyjechała. Chyba oszalał. Nigdy by tu nie przyjechała, a nawet gdyby, nie miałyby nic do roboty.

Nie zajęłaby się dzieckiem.

Dziecko, powódź, Maggie. W głowie miał kompletny zamęt. Dziecko, powódź, Maggie.

– Muszę kończyć – przerwał Miriam. – Przepraszam, kochanie, jutro zadzwonię. Mała mnie potrzebuje.

– Ta położna...

– Już śpi. I ja też idę spać. Będę spał do oporu. Jeśli pewna mała Ruby mi pozwoli.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy o szóstej rano wyszła nakarmić kury, usłyszała płacz Ruby. Zmieszała paszę z zieleniną, po czym wsypała ją do klatki. W okolicy kręcił się lis, więc nie odważyła się ich wypuścić. Ruby płakała dalej.

Nie twoja sprawa. Pielęgniarki nie odwiedzają pacjentów o tej porze. Zajdzie do nich później. Teraz zje śniadanie, a następnie wybierze się do zorganizowanej w miejscowej świetlicy prowizorycznej przychodni, by porozstawiać sprzęt. Nie, to może poczekać. Most jest zamknięty dopiero od wczoraj, więc potrzebujący mieli dwa dni na załatwienie spraw. Lekarze w szpitalu na drugim brzegu pracowali niestrudzenie, przyjmując pacjentów z drobnymi dolegliwościami i wypisując recepty na cały miesiąc.

Ale przez jakiś czas po tej stronie rzeki nie będzie lekarza. Tylko Blake. Ta myśl podejrzenie ją pokrzepiła.

Podczas powodzi ludzie miewają głupie pomysły, ratują stada, latają dachy, dźwigają worki z piaskiem. Lekarz, nawet pozbawiony wyrostka, to zbawienie. Jeśli zgodzi się pomagać.

Skoro oczekuje, że Blake jej pomoże, to i ona mogłaby mu pomóc. Odmawiając, wykazała się nietypową dla siebie stanowczością, ale postanowiła być stanowcza.

Stanowcza to nie to samo co okrutna. On naprawdę nie ma pojęcia o dzieciach. W przypadku zagubionej nastolatki od razu przyszłaby jej z pomocą. Uśmiechnęła się na myśl o Blake'u Samfordzie w roli nastoletniej mamy.

Pomoże mu. Nawet o szóstej rano.

Zapukała do jego drzwi. Bez odpowiedzi, za to płacz przybrał na sile.

Ostrożnie weszła do salonu.

Blake stał przed kominkiem. W samych bokserkach. Wysoki, opalony, umięśniony. Jako pielęgniarka zdążyła się oswoić z męskimi ciałami. Jednak nie z tym ciałem.

Wysoki, mroczny, niebezpieczny. Wychodź stąd jak najszybciej, pomyślała. Ale on trzymał na rękach dziecko i żałośnie na nią spoglądał.

Odstawiła wiaderko z jajkami, bez słowa poszła do kuchni umyć ręce, po czym wróciła i odebrała mu Ruby.

– Trzeba ją przytulić. Przez dziewięć miesięcy czuła się bezpiecznie w brzuchu matki, teraz rączki i nóżki się jej płaczą. I to ją przeraża. Poradzi sobie z nimi, jak się uspokoi, ale nie jak jest zmęczona i głodna.

– Nie chce jeść – westchnął bezradnie, wskazując pełną butelkę na stole.

– Najpierw musi się zrelaksować. – Przysiadła na kanapie, spłowiej i nierównej.

Ciasno owijała Ruby, by jej rączki i nóżki mogły się odprężyć, by dziecko poczuło się bezpiecznie. Jako położna z dużym doświadczeniem robiła to machinalnie, więc miała dużo czasu na myślenie o kanapach i Ruby... oraz muskulaturze Blake a.

Imponującej. Każda dziewczyna... straciłaby głowę.

To jest człowiek, który wynajął ci mieszkanie, facet, który chce się pozbyć dziecka. Chwila słabości i wylądujesz z dzieckiem, ostrzegła sama siebie. A jeżeli je pokochasz...

Pokochałaś dwa psy, to wystarczy.

Ruby płakała w dalszym ciągu, ale już nie rozpaczliwie, tylko ponagląco: „Domagam się czegoś i chcę to natychmiast!” Gdy Maggie podała jej butelkę, zapanowała błoga cisza.

Kochała niemowlaki pomimo wielu zastrzeżeń. Bo maluchy potrafią człowieka wciągnąć.

Jej matka to wykorzystała. Uwielbiała rodzić dzieci, ale nie lubiła się nimi opiekować. Przekazywała je córce.

I o tym przemyśliwa Blake. Przekazać porzuconą dziewczynkę Maggie.

Nie daj się wciągnąć! Nie angażuj się emocjonalnie. Wszystko, tylko nie to. Możesz nawet patrzeć na Blake'a.

Nad gumką bokserek zauważyła czerwoną bliznę.

– To nie był zabieg laparoskopowy? – zagadnęła. – Nie wybrałeś odpowiedniego chirurga?

– Wybrałem zły wyrostek. – Popatrzył po sobie. – Oj, przepraszam, zaraz się ubiorę.

– Blizna po wyrostku mnie nie przeraża. Było aż tak bardzo źle?

– Uhm.

– Zapalenie otrzewnej?

– Biorę silny antybiotyk. ściągnęła brwi.

– Na pewno możesz przebywać po tej stronie rzeki?

– Oczywiście.

– Gdyby doszło do infekcji... Byłam pewna, że to się odbyło laparoskopowo. Gdybym wiedziała...

– Kazałabyś mi wyjechać?

– Doradziłabym wyjazd.

– Ty tu rządzisz?

– Tak. Dopóki woda nie opadnie, nie ściągnę tu żadnego lekarza. Jestem zdana tylko na siebie.

– I na mnie.

Kiwnęła głową wdzięczna, że jest skłonny pomóc. Lekarz po tej stronie

rzeki to skarb, ale taki świeżo po operacji?

– Cieszę się. Dopóki nie zostaniesz pacjentem.

– Nie mam zamiaru. – Ze zdziwieniem spoglądał na spokojnie ssące niemowlę. – Dlaczego ja nie mogłem?

– Mogłeś. I możesz. Siadaj.

– Dlaczego?

– Jesteś jej wujkiem. Myślę, że ona potrzebuje rodziny.

– Ona potrzebuje pomocy medycznej.

– Siadaj – powtórzyła Maggie.

Usiadł na tyle wygodnie, na ile pozwalał mu kokon z dzieckiem.

Olśniewający, pomyślała. Nagi tors, bokserki, ciemne rozwichrzone włosy, lekki zarost. Tak, olśniewający dobrze to oddaje.

Dobrze by było, żeby się tak nie zachwyciała. Musi pamiętać, że przysłała tu z wizytą pielęgniarki odwiedzającej młodą matkę. Musi się skoncentrować na czymś innym niż prawie nagi facet z maleńkim dzieckiem na ręku.

Potrzebującym opieki medycznej.

– Jeśli uważasz, że jej stopy wymagają natychmiastowej interwencji, wezwę śmigłowiec. – Odwinęła kocyk.

– W głowie się nie mieści, że matka ją porzuciła z tego powodu.

– Nie znam takiej matki.

– Ojciec mógłby to zrobić. Tak się zdarza. Córka, a na dodatek z wadą. Jeśli matka ma słaby charakter...

– Albo jest narkomanką.

– Nie zauważyłam objawów zespołu abstynencyjnego – go. Jeżeli matka jest uzależniona, ona też by miała objawy.

– Ona ma ze trzy tygodnie – przypomniał Blake. – Może ma to już za

sobą. Ale jeżeli tak było, to pierwsze dwa tygodnie musiały być koszmarne. To w połączeniu ze stopami mogło się przyczynić do tego, że ją porzucono.

– A na dodatek przebywasz w domu ojca – dodała w zadumie. – Jeżeli twoja siostra wie, że tu jesteś i uważa, że możesz się małą zaopiekować, to mogła to uznać za najlepsze rozwiązanie.

– Ona nie jest moją siostrą.

– Twój ojciec jest też jej ojcem.

– Nawet nie znam jej nazwiska.

– Wendy Runtland. Ma dwadzieścia dziewięć lat i mieszka na małej farmie sześć mil za szpitalem. Ruby przyszła na świat dwudziestego pierwszego minionego miesiąca. Wendy była w szpitalu tylko jedną noc i nie zgodziła się na dalszą pomoc. Personel się niepokoił. Wezwano pediatrę, żeby obejrzał stopy małej, ale Wendy wypisała siebie i Ruby, zanim dojechał do szpitala.

– Skąd ty...?

– Jestem pielęgniarzką zatrudnianą przez tutejszy zakład opieki zdrowotnej. Mam dostęp do danych. W nocy zadzwoniłam do szpitala z pytaniem o noworodki ze stopą szpotawą. Znaleźli tylko Ruby. Jej dokumentacja jest nader skromna. Matka nie zgłaszała się na badania prenatalne. Pierwsze dziecko, trudny poród, partner towarzyszył jej tylko przez krótki czas. Oboje byli wyraźnie niezadowoleni z powodu jej stóp. W dokumentacji jest adnotacja, że facet był agresywny. Następnego dnia Wendy wypisała się razem z dzieckiem. Nie było powodu wzywać policji, ale personel zawiadomił opiekę społeczną. Za każdym razem, kiedy tamtejsza pielęgniarzka chciała im złożyć wizytę, zastawała furtkę zamkniętą, a kiedy próbowała zadzwonić, ktoś od razu odkładał słuchawkę. Może tobie się poszczęści. Ja przez ten czas sprawdzę, co dzieje się z mostem.

– Co chcesz sprawdzić?

– Słuchałam radia. Na północy ciągle pada. Spłyną tu masy wody. Jeśli będzie się podnosić, nie uda się nam szybko przekazać jej opiece społecznej.

– Opiece społecznej? – Nie krył zdumienia.

– Jeżeli szybko nie zwrócimy jej matce, chyba że ty chcesz się nią zaopiekować, uważam, że tam jest jej miejsce; Tak czy inaczej, decyzję należy podjąć niezwłocznie, bo trzeba zająć się jej stopami.

– Wiem – mruknął, wpatrując się w Ruby, a ona pomyślała, że... coś ich łączy.

Rodzina. Powiedział, że nie ma siostry i że nawet nie zna jej nazwiska. Domyślała się, że nieczęsto zawodzą go mechanizmy obronne, ale tym razem chyba okazały się zawodne. Spoglądał na Ruby, jakby nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Ewakuować ją? Przekazać opiece społecznej? Zatrzymać, aż woda opadnie?

Ryzykować, że się do niej przywiąże?

– Spróbuję zadzwonić do Wendy – odparł w końcu, a ona przytaknęła. Wstała i podniosła wiaderko.

– Super. Zostawię ci kilka jajek, I powiedz, jak ci poszło.

– Maggie... Bądź przy tym, jak będę z nią rozmawiał.

Tyle mogę dla niego zrobić, pomyślała.

Gdy oddał jej śpiącą Ruby, uznała, że dalej nie może się posunąć. Ma słabość do niemowląt, co bezlitośnie wykorzystywała matka, a teraz... widok Blake'a też ją rozbraja.

Wbrew pozorom wydał się jej bezbronny.

Pochodził z najbogatszej rodziny w całym okręgu, ale miejscowi współczuli mu z całego serca, gdy miał sześć lat, i do tej pory ta sympatia nie zmalała. Jakim teraz jest człowiekiem? Podobnym do matki? Czy do ojca?

Nie wiedziała. Teraz miała przed sobą bezbronного mężczyznę, zbolełego, w szoku, zmęczonego i obciążonego nie swoim dzieckiem.

Teraz go nie oceniaj. I już bardziej się nie angażuj. Ale... możesz zostać, kiedy będzie rozmawiał z siostrą.

Wybrał numer, który mu podała. Odebrała kobieta, wyraźnie niezadowolona. Jakby czekała na ten telefon.

– Wendy?

Kobieta odezwała się po dłuższej chwili. Tak długiej, że Maggie zaczęła się niepokoić, że zakończy połączenie.

– Blake. – Zabrzmiało to, jakby była wyczerpana.

Od porodu upłynęły trzy tygodnie. Objaw depresji poporodowej?

– Znam swoje imię – powiedział – ale nie znałem twojego.

– Dlatego, że nasz ojciec uznawał tylko ciebie.

– Przepraszam.

– Trochę za późno na przeprosiny – syknęła. – Minęło trzydzieści lat.

– Wendy, nie mam nic wspólnego z tym, co mój ojciec ci zrobił albo nie zrobił.

– Dostałeś farmę.

– Możemy o tym porozmawiać, ale teraz musimy porozmawiać o twojej córeczce.

– Ona nie jest moim dzieckiem – zachnęła się. – Wcale jej nie chciałam. Sam nie chce jej oglądać.

– Owszem, nie chcę – odezwał się męski głos. – Nie chcieliśmy mieć dzieci. Wybieramy się na zachód i nie ma mowy, żebyśmy zabrali taką zdeformowaną pokrakę. Jak tylko się tam zainstalujemy, Wendy każe sobie podwiązać jajniki. Jak chcesz ją adoptować, wszystko podpiszemy, ale teraz bachor jest twój. Zrób z nim, co ci się podoba. My wyjeżdżamy.

– Pozwól mi porozmawiać z Wendy – odezwał się Blake. – Wendy?

– Tak. – Znowu zabrzmiało to bardzo szorstko.

– Naprawdę tego chcesz? Nie rozmawiamy o przeszłości. O Ruby. Naprawdę chcesz porzucić swoją córeczkę?

– Taa... – Tym razem opryskliwość ustąpiła miejsca goryczy. – Tak. Ja jej nie porzucam, ja ją oddaję tobie. Ojciec nic dla mnie nie zrobił, więc teraz jest okazja.

Nie chcę tego dziecka, więc się nim zajmij. Teraz to twój problem. – Zakończyła połączenie.

Zapadła martwa cisza. Z oblicza Blake'a Maggie przeniosła wzrok na dziecko. Zdeformowana pokraka. Dzięki Bogu, mała ma trzy tygodnie i nic nie rozumie.

Przypomniała się jej własna matka. Wyczerpana porodem wracała ze szpitala, opadała na poduszki i podawała nowe dziecko najstarszej córce.

– Maggie, zajmij się nim.

Matka nie była aż tak zła, ale pewne podobieństwo dawało się zauważyć. Ich rodzice robili, co musieli, ale nic ponadto. Życie miało być pełne rozrywek i beztroskie, a odpowiedzialność należało zrzucać na tego, kto był pod ręką.

Mocniej przytuliła Ruby, jakby chciała ochronić ją przed piętnem podrzutka. Zdeformowana pokraka.

Blake wziął od niej Ruby i trzymał ją opiekuńczym gestem. W jego życiu zaszła zmiana.

– Wendy nie zmieni zdania.

– Chyba masz rację – szepnęła. – Jeżeli przez trzy tygodnie nie poczuła z nią żadnej więzi, to już jej nie poczuje. Miejmy tylko nadzieję, że kontakt zostanie utrzymany.

– Chciałabyś, żeby Ruby była w kontakcie z rodzicami, którzy ją nazywają... – Zawahał się. – Trzeba się zakreślić koło adopcji. Na pewno znajdzie się rodzina, która ją weźmie.

– Na pewno, ale bez dokumentów najpierw zostanie przekazana rodzinie zastępczej.

– Pewnie po tej stronie rzeki nie ma takich rodzin.

– Zorganizuję ewakuację – oznajmiła, a on spojrzał na nią zaskoczony. Nic dziwnego, bo taką decyzję podjęła dwie sekundy wcześniej.

– Słucham?

– Dla was dwojga. W nocy przeczytałam sobie o stopie szpotawej. To wymaga rehabilitacji i gipsu. Metoda Ponsetiego zaleca zmianę gipsowego opatrunku co tydzień. Do tego dochodzi twój stan pooperacyjny.

– Nie mam żadnych komplikacji.

– To dlaczego nie operowano cię laparoskopowo?

– Rzuciła mu takie samo spojrzenie jak upartym pacjentkom. – No właśnie. Podsumowując: mam tu faceta po operacji, który w każdej chwili może wymagać ponownej interwencji oraz niemowlę, które wymaga specjalistycznej opieki. Na razie nie pada, ale prognozy przewidują ulewne deszcze. Mogę was natychmiast stąd ewakuować. Jeszcze dziś Ruby znajdzie fachową opiekę w Sydney, a ty od razu zajmiesz się organizowaniem rodziny zastępczej. Dzwonię po śmigłowiec.

– Wyrzucasz mnie?

– Jesteś lekarzem, więc wiesz, że tak będzie najlepiej.

Racja. Maggie ma rację. Ewakuacja jest w pełni uzasadniona. Rozwiązałyby też wszystkie problemy. Jeśli nie skorzysta z tej propozycji, grozi mu, że utknie z dzieckiem w Corella Valley na parę tygodni.

Może jeszcze dziś zabrać Ruby do Sydney. Wrócić do swojego

klinicznie czystego mieszkania, oddać małą, komu trzeba i mieć problem z głowy.

Maggie z wiaderkiem jajek w ręce cierpliwie czekała na odpowiedź. Przyszło mu do głowy idiotyczne pytanie: „Jeżeli wyjadę, to kto zje te jajka?” Zadzwoił telefon. Blake sięgnął po słuchawkę. Spodziewał się Wendy, ale usłyszał dziecięcy płacz.

– To ty, Maggie?

Wiaderko z jajkami nagle stuknęło o podłogę.

– Susie, co się stało?

– Chrisowi leci krew... – chlipnęła dziewczynka.

– Susie, nie płacz! – Zabrzmiało to tak surowo, że Blake'owi ścierpła skóra. – Dobrze wiesz, że to nic nie pomoże. Co się stało?

– Pośliznął się na mokrym dachu i spadł – wykrztusiła Susie. – Leci mu krew z uda, a mama się drze, więc Pete kazał mi zadzwonić i powiedzieć, żebyś przyjechała.

– Już jadę, ale najpierw mnie posłuchaj. Susie, weź prześcieradło z bielizniarki i zwiń je w kulę bardzo, bardzo ciasno. Potem idź do Christophera, a mamie każ się zamknąć. Potrafisz? Wyobraź sobie, że jesteś mną...I powiedz Pete'owi, żeby położył tę kulę na nodze Chrisa i z całej siły ją przycisnął. Powiedz mu, żeby na niej usiadł, bo musi zatamować krew. Potrafisz, myszko?

– T... tak.

– Będę szybciej, niż mama przestanie wrzeszczeć. Pilnuj, żeby Pete nie przestawał uciskać i wszystkim powiedz, że już jadę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przygotowywała ewakuację Blake'a i po chwili gnała samochodem do oddalonego o milę podupadającego gospodarstwa.

Z Blakiem i niemowlęciem. Jak to się stało? Nie miała czasu na zastanowienie. Rzuciła się do wyjścia i pobiegła do auta, ale ledwie zawróciła, przed maską stał Blake, ubrany, z Ruby na rękach.

– Jeśli to poważny krwotok, to będę ci potrzebny.

Nie polemizowała. Zapięła Ruby w foteliku, który był zamontowany w samochodzie na stałe, i ruszyła w stronę rodzinnego domu. Już w aucie Blake wkładał buty.

Christopher miał dwanaście lat. I stale w coś się pakował.

– Nie powinnam była ich zostawiać – szepnęła.

– Nie powinnaś opuszczać domu?

Na tylnym siedzeniu Ruby z zadowoleniem wtuliła się w fotelik. Oto niemowlę, które jedzie na poranną przejażdżkę z mamą i tatą. Mama i tata? Ha!

– Moi rodzice nie wiedzą, co to odpowiedzialność – wycodziła przez zęby. – Należało ich wysterylizować zaraz po urodzeniu.

– Hm... mocno powiedziane. To znaczy, że nie byłoby Maggie.

– Ani pozostałej ósemki, którą nie chce się im opiekować – warknęła. –

Nickie, Louise, Raymond i Donny już wyjechali z doliny. Uczą się. Najmłodsza Susie ma dziesięć lat. Myślałam, że nauczą się niezależności. Wydawało mi się, jak będę mieszkać milę od nich, to będą bezpieczni.

– Tak samo, jakbyś mieszkała z nimi, a oni by poszli do sklepu po mleko – zauważył.

Ta uwaga sprawiła, że jej strach i poczucie winy nieco zmaląły. Przestała się bać, bo obok siedzi ten mężczyzna. Jednak w dalszym ciągu nie wiedziała, co ją czeka.

– Susie powiedziała, że krew leci – odezwał się Blake, jakby czytał w jej myślach. – Gdyby to była tętnica, użyła by bardziej dramatycznego określenia.

Znowu nieco jej ulżyło.

– Po drodze są serpentyny? – zapytał pozornie opanowanym tonem.

– Nie ma.

– To dobrze. Nie wątpię w twoje rajdowe umiejętności, ale Ruby i ja bardzo się z tego cieszymy.

Zatrzymali się przed czymś, co wyglądało jak skrzyżowanie domu ze złomowiskiem. Z werandy wybiegła im na spotkanie chuda nastolatka.

– Maggie! Za domem, szybko!

Maggie prawie w biegu wyskoczyła z auta, po czym zniknęła za rogiem domu.

Blake zauważył, że Maggie nie zabrała torby. W ostatniej chwili chwycił za rękę dziewczynę, która już miała rzucić się za siostrą.

– Jestem kolegą Maggie. I lekarzem. Popilnujesz dziecka, kiedy będę pomagał Maggie?

Dziewczyna zajrzała do wnętrza auta.

– Zostanę. Jak widzę krew, to mi się nogi trzęsą.

Zaprosił ją na fotel pasażera, po czym otworzył torbę Maggie. Kobieta dobrze zorganizowana, przeszło mu przez myśl. Wszystko na swoim miejscu. Uznał, że nie poradzi sobie z takim ciężarem, chwycił więc tylko zestaw przewidziany dla najgorszego scenariusza i pędem puścił się na tyły domu. Ciągnęły go szwy, ale po raz pierwszy od operacji ledwie to odnotował.

Za domem ujrzał pełną dramatyzmu scenę. Maggie pochylała się nad leżącym nieruchomo na ziemi chłopcem, którego otaczał wianuszek dzieciaków w różnym wieku oraz kobieta na klęczkach, zawodząca rozpaczliwie.

– Maggie, słabo mi, Maggie...

Dzieci nie zwracały na nią uwagi wpatrzone w Maggie skoncentrowaną na udzielaniu chłopcu pomocy. Miniaturowa kopia najstarszej siostry, pomyślał, przyklękając obok. Takie same kasztanowe włosy, takie same piegi. Błady jak płótno.

Maggie zwijała walek, wyciągając kolejne sztuki ze sterty pościeli, a starszy chłopiec, zapewne Peter, też przeraźliwie blady, dociskał zakrwawiony tampon na udzie brata.

– Okej, Pete, zabierz.

Między gestem Pete'a a Maggie, Blake dostrzegł otwartą pulsującą ranę długą na kilkanaście centymetrów. Wprawdzie to nie tętnica główna, bo chłopak już by nie żył, ale i tak jest źle. Kończyna wyżej niż serce!

Tampon przyłożony przez Maggie powoli zabarwiał się na czerwono. Sam ucisk nie wystarczy. Blake błyskawicznie zgarnął resztę prześcieradeł, by wepchnąć ją pod uda chłopca. Krew sączyła się dalej. Na twarzy Maggie malował się strach.

Przejrzał instrumenty w zestawie. Wybrał te, które miały być mu potrzebne, ułożył je na sterylnej chuście, po czym naciągnął rękawiczki.

– Na „trzy” zabierz ręce – zwrócił się do przerażonej Maggie. Opanowała strach. – Siostro, siostra mi asystuje – uprzytomnił jej. – Niech mi siostra nie sprawi zawodu. Pete, trzymaj brata za ramiona. Chris, zaraz zatamuję krwotok. Będzie bolało, ale tylko przez chwilę. Zaciśnij zęby i wytrzymaj. – Mówiąc, zdezynfekował ranę, zaaplikował środek

przeciwbólowy z pełną świadomością, że ma za mało czasu, by zadziałał. –
Gotowa?

– G... gotowa – odparła Maggie przez ściśnięte gardło.

– Opanuj się! Pete, już' go trzymasz? Nie wolno mu nawet drgnąć.
Trzymaj go z całej siły. Chris, z całej siły zaciśnij. Znieś to mężnie.

– T... tak.

– Grzeczny chłopiec. Nie musisz udawać, bo jesteś bohaterem. Muszę
sprawić ci ból, żeby zatamować krew, ale zrobię to szybko. Australia to kraj
superbohaterów. Wyobraź sobie, że jak Superman jesteś uzbrojony w
kryptonit i wytrzymaj.

Maggie zeszywniała ze strachu.

Musi zaufać jego niewzruszonemu spokojowi, nie zachowywać się jak
przerażona siostra, lecz przejść do roli pielęgniarki asystującej chirurgowi.
Zebrawszy się w sobie, skoncentrowała się na podawaniu instrumentów,
oczyszczaniu pola operacyjnego i wykonywaniu poleceń Blake'a.

Rozerwane naczynie...

A nawet gorzej, bo cofnęło się w głąb rany. Gdyby było w polu
widzenia, można by je podwiązać.

Blake jednym wprawnym ruchem naciął skórę, jeszcze trochę
przedłużając ranę. Oddał jej lancet, by pęsetą trafić na koniec naczynia,
podczas gdy ona starała się tamponować krew, żeby mu to umożliwić.

– Mam – oznajmił tonem tak opanowanym, jakby od początku nie miał
żadnych wątpliwości. Niemal w tej samej chwili krew zaczęła płynąć wolniej.
– Nici.

Z niekłamanym podziwem obserwowowała, jak wprawnymi ruchami
zakładał kolejne szwy. Dzięki ci, panie Boże, pomyślała. Dzięki ci, Blake.

Udało się. Blake usiadł, czując, że kręci mu się w głowie jak zawsze po

tak dramatycznych chwilach.

Najpierw zrób swoje, mdlej potem. Dawno temu takie polecenie wydał mu pewien profesor chirurgii, widząc, że nogi się uginają pod młodym Samfordem.

– Omdlenie z klasą to żaden powód do wstydu – pouczył go profesor. – Wszyscy tak reagujemy, trzeba tylko nauczyć się to odwlec.

Więc odwlókł, podobnie jak Maggie. W innych okolicznościach nie pozwoliliby krewnej asystować podczas operacji na jej bliskim. Tak dzielnie się trzymała...

Zachowała spokój i zimną krew, nie była to jednak pora na gratulacje. Chris wymagał uzupełnienia płynów, bo niskie tętno groziło zatrzymaniem akcji serca.

Na szczęście torba Maggie zawierała wszystko, co tylko mogłoby być potrzebne. Dzięki Bogu, za tę torbę i za pielęgniarki środowiskowe. Wydał Maggie polecenie założenia opatrunku uciskowego, do usunięcia, gdy zadziała środek uśmierzający, a sam podłączył chłopca do kroplówki. Jeszcze raz zmierzył tętno i upewnił się, że ma pod ręką adrenalinę.

Ponownie zbadał tętno. Jeszcze nie.

– Mamy plazmę?

– W przychodni. Dziesięć minut stąd.

Jeszcze nie warto po nią jechać. Poobserwuje, czego dokona kroplówka. Chris był bliski utraty świadomości, słabo reagował na bodźce, ale w miarę jak płynu ubywało, a środek uśmierzający zaczynał działać, Blake dostrzegł, że kolor wraca na policzki chłopca, a tętno przybiera na sile.

Rodzeństwo stało niczym słupy soli, czekając na szczęśliwe zakończenie. Podobnie zresztą jak Maggie. Była prawie tak samo blada jak chłopiec.

To jej brat. Rodzeństwo. Nagle przypomniało mu się niemowlę, które widział trzydzieści lat wcześniej jako sześciolatek. Jego siostra. Nigdy nic do niej nie czuł, ale gdy pomyślał o Ruby, przyszło mu do głowy, że może dostał drugą szansę.

W takiej sytuacji myśleć o niemowlaku?!

Myśl o Christopherze. Kroplówka miarowo kapała, a on trzymał rękę na pulsie chłopca, modląc się, by ciśnienie wzrosło. W końcu Christopher zajęczał.

– Chris, kochanie, nie ruszaj się – przemówiła Maggie, a Blake w usłyszał jej głosie ulgę. – Rozciąłeś sobie udo, więc się nie ruszaj. Doktor Samford już zaszył ranę. Będzie dobrze. Straszny z ciebie dureń, że wlałeś na mokry dach.

– Z mokrego szybciej się zjeżdża – wyszeptał Chris. – Ale to boli. Już tego nie zrobię.

Blake odetchnął. Nawet nie wiedział, że wstrzymuje oddech. Przypomniała mu się jeszcze jedna zasada wpajana przez pewnego profesora pediatrii: „Jeżeli dziecko wrzeszczy, odeślij je na koniec kolejki, jeśli płacze, do środka, ale jak milczy, bierz je na sam początek, i to szybko”. W tej chwili Christopher przesunął się z początku kolejki do środka.

Maggie wyraźnie opadła z sił. Blake się rozejrzał. Ile razy rozgrywały się tu podobne sceny?

Matka w kompletnej hysterii leżała na trawie, kurczowo ściskając dziewczynkę wyglądającą na dziesięć lat. Gdy Blake na nie spojrzał, dziewczynka próbowała się wyzwolić z matczynych objęć, ale kobieta jej nie puszczała.

– Susie, przytul mnie – lamentowała. – Zemdleję, jak nie będziesz mnie trzymać. Boże, te dzieci mnie wykończą!

Niech mdleje, pomyślał Blake, przenosząc wzrok na Maggie. Wyglądała jak sarna oślepią blaskiem reflektorów. Jak ogromną odpowiedzialność dźwiga?

– Zamieńmy się miejscami – zaproponował, by mogła zająć się rodzeństwem. – Gdzie możemy zszyć go jak należy? – Zerknął na dom. Nie, tam nie może być czysto.

– Nie chcę, żeby Maggie mnie szyła. Jak ona szyje, to boli – jęknął Chris.

– Już go zszywałaś? – zdziwił się Blake.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Tylko wtedy, kiedy nie miałam wyjścia. Chris nie daje nam wyboru.

– Tym razem masz wybór. Ja to zrobię. Podobno zorganizowałaś przychodnię. Masz tam gabinet zabiegowy?

– Mały.

– Doskonale. – Uśmiechnął się do chłopca. – Jeśli się zgadzasz, żebym zastąpił Maggie, obandażujemy ci nogę i zabierzemy cię do przychodni, a tam przy dobrym świetle i z dobrym sprzętem zajmę się nią jak należy. Sprawdzę, czy nie uszkodziłeś sobie nerwów. – Już teraz, badając jego odruchy, uznał, że chłopak miał wielkie szczęście.

– Gdzie Ruby? – zaniepokoiła się Maggie.

Hm, Ruby.

– Pod oknem twojej siostry. W aucie.

– Jak jest z Liselle, to nic jej nie grozi – zapewniła go. – Liselle przepada za takimi maluchami. Zarabia na kieszonkowe, pilnując dzieci. – Ściągnęła brwi. – Blake, Chris wymaga bardzo precyzyjnego szycia. Nie wiem, czy da się to zrobić tutaj. Umiem założyć proste szwy, ale to może nie wystarczyć. Poza tym trzeba się zająć stopami Ruby. Im prędzej oboje znajdą

się w rękach specjalistów, tym lepiej. A do tego nie chcę mieć na sumieniu twojego wyrostka. Sensownie byłoby ewakuować całą waszą trójkę. Wezwę śmigłowiec.

– Nie chcę do szpitala – przeraził się Christopher.

– Ja też nie – zawtórował mu Blake. – Zajmę się tym.

– Uspokajającym gestem dotknął ramienia chłopca. – Jestem chirurgiem, więc szyję naprawdę ładnie. Nie mam nic do zarzucenia twojej siostrze, ale to dziewczyna. Co dziewczyny mogą wiedzieć o szyciu?

– Jasne. – Chłopak blado się uśmiechnął.

– Zgadzasz się, żebym to ja doprowadził twoją nogę do porządku? Bez wysyłania cię do szpitala?

– Okej – wyszeptał Christopher, za co Maggie go uściskała.

Dlaczego to Maggie go przytula, a nie jego beznadziejna rodzicielka?

– Pójdę zrobić sobie herbatę – powiedziała kobieta, podnosząc się z ziemi. – Jestem Barbie – przedstawiła się. – Barbara, ale przyjaciele nazywają mnie Barbie. Maggie, może nas przedstawisz?

Jasne, pomyślał Blake, prezentacja ważniejsza niż uratowanie życia jej synowi.

Christopher zasypiał. Kroplówka podniosła mu ciśnienie, a środek uśmierzający robił swoje. Mieli czas na zastanowienie, ale jego sugestia, że zostanie w Corella Valley, wydawała się sensowna.

– A co z Ruby? – zapytała Maggie, gdy matka zniknęła.

To pytanie kazało mu wrócić myślami do dziecka, za które czuł się odpowiedzialny.

Jedno spojrzenie na tę rodzinę wystarczyło, by pojął, z czym boryka się Maggie. Słaba i histeryczna matka, niewidoczny ojciec i dzieci zdecydowanie za małe, by zostawiać je same. Maggie troszczy się o całą rodzinę. Co więcej,

zaspokaja zapotrzebowanie na usługi medyczne wszystkich mieszkających po tej stronie rzeki. Dopóki woda nie opadnie, jest zdana wyłącznie na siebie.

Christopher przeżyje. Gdyby była sama, nie wiadomo, czy tak by się stało. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. Wyraźnie potwierdzała to jej bladość. Ale dowiedli sobie nawzajem, że potrafią razem pracować.

Zamierzał wykorzystać zwolnienie lekarskie na uporządkowanie spraw związanych z farmą. Jak trudno będzie to pogodzić ze wspieraniem tej kobiety?

Oraz opieką nad dzieckiem.

Maggie mu pomoże. Taka już jest.

– Nie – odezwała się.

– Nie?

– Wiem, o czym myślisz – rzuciła zdecydowanym tonem. – Nie pomogę ci przy dziecku. Musicie się ewakuować.

– Nie prosiłem, żebyś się opiekowała moim... mojej siostry dzieckiem.

– Okej, wcześniej miał ochotę jej to zaproponować, ale już tego nie zrobi. – I wcale nie musisz się troszczyć o mój wyrostek. Gdybyś nie wiedziała, to ci powiem, że większość takich operacji polega na jego usunięciu. Mój wyrostek został w Sydney. – Uniósł dłoń, by mu nie przerywała. – Poza tym oddałem się w ręce dobrych kumpli, którzy doskonale wiedzieli, że gdyby doszło do komplikacji, toby się wystawili na pośmiewisko. Goję się bardzo ładnie. A do tego... – Maggie znowu otworzyła usta – jak wyślesz Ruby do szpitala, to najpierw rozejrzą się za chirurgiem ortopedą. W Corella Valley go nie ma, więc najbliższym specjalistą w tej dziedzinie jestem ja. Potrafię zrobić wszystko, co należy. Dopóki woda nie opadnie, mogę zajmować się jej stopami.

– I jej doglądać?

– T... tak – odparł, patrząc jej w oczy. – Poza tym Wendy wie, gdzie jest jej dziecko. Być może zmieni zdanie. Ta możliwość odpadnie, jeśli wyślemy Ruby do miasta.

– Wątpię, żeby...

– Ja też mam wątpliwości – przyznał – ale Wendy to moja siostra, więc chyba powinienem zająć się Ruby przez tydzień albo dwa, żeby dać jej szansę.

– Chcesz, żeby wróciła do tego...?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą – ale chciałbym z Wendy porozmawiać. Chciałbym to jakoś załatwić. Nie chcę porzucać...

– Rodziny.

– Tutaj to zrozumiałem. – Spojrzał na dach. – Ryzyko czai się wszędzie. Jak się od nich odwrócę, ani się obejrzymy, jak Ruby zacznie zjeżdżać z dachów.

– Wezmiesz na siebie odpowiedzialność za nią?

– Na tydzień. – W co się pakuje?! Ale w tej drobnej dziewczynie obarczonej tak ogromną odpowiedzialnością było coś, co kazało mu się zastanowić. Jedno dziecko przez tydzień. To chyba niedużo?

Rodzina przez tydzień.

Da się zrobić, pomyślał. Być może jest to jedyna szansa zadośćuczynić siostrze, która nie spotkała na swojej drodze takiej Maggie.

Nie miał wspaniałego dzieciństwa, ale innym powiodło się gorzej. Matka miała dość siły, by odejść od męża brutala, nie była zbyt czuła, za to ojciec nie miał pojęcia, czym jest dobro. Pieniądze nigdy nie stanowiły problemu, więc chodził do dobrej szkoły, ukończył renomowany uniwersytet. A Wendy?

Znał ojca na tyle, by się domyślać, że nie dał grosza na nieślubne

dziecko.

„Dostałeś farmę”, wytknęła mu tonem wyrzutu. Ma prawo przyjąć taki spadek? Po raz pierwszy zadał sobie to pytanie.

Maggie czekała, aż do niego dotrze, na co się porywa. Czekala, aż zrozumie, że ewakuacja będzie rozwiązaniem najłatwiejszym. Ale tamta krótka chwila lata temu, kiedy myślał, że ma siostrzyczkę...

Rodzina go nie interesuje. Jest samotnikiem. Zadowoli się Miriam, kobietą równie oddaną pracy jak on.

Miriam uznałaby, że zwariował.

– Hej! Pana maluch ma pełną pieluchę. Mam go przewinąć? Mogę, ale obowiązuje stawka jak za babysitting! – Ten komunikat przywołał go do rzeczywistości.

– Liselle, on już idzie! – odkrzyknęła Maggie. Przytulając Christophera, spoglądała na Blake'a jak na interesujący okaz entomologiczny. – Szkoda jego kasy na zmiennika pieluch. Pieluszki są w torbie – zwróciła się do niego – ale możesz wybrać ewakuację. Więc jak?

Popatrzył na nogę chłopca wymagającą szycia, popatrzył na Maggie odpowiedzialną za całą dolinę, pomyślał o Ruby, której potrzeba została przed chwilą zaanonsowana.

– Chyba zostanę.

Maggie przyjęła to nieśmiałym uśmiechem. Chyba się obawiała, czy nie przysporzy jej więcej problemów niż korzyści.

– Odważny jesteś – oświadczyła. – Przewijanie niemowlaka to zadanie nie dla mięczaków.

– Chyba nie mogę być mięczakiem. – Znosi się na interesujący tydzień, pomyślał. Wkracza do krainy smoków, ale je pokona i w efekcie wyświadczy Maggie przysługę. – Nie stać mnie na to, dopóki woda nie

opadnie.

– Albo do kiedy nie uporasz się z pierwszą pieluchą. Pielucha albo powódź... wybieraj.

– Czuję, że czeka mnie jedno i drugie.

Ostrożnie ułożyli Christophera na tylnym siedzeniu obok fotelika Ruby. Maggie usiadła za kierownicą, spojrzała na uśpionego brata, na rozbudzoną, ale przewiniętą Ruby oraz na pacjenta dopiero co po operacji.

Kwoka z kurczętami.

Blake nie wygląda jak kurczak. Powinno jej ulżyć. I ulżyło. Przy Christopherze spisał się na medal. Nie wiadomo, czy by sobie z tym poradziła. Jeszcze raz ze ściśniętym sercem zerknęła na brata, po czym znowu na Blake'a. Tym razem serce też się jej ścisnęło... ale inaczej.

Facet jest chirurgiem, pomaga jej, więc z zawodowego punktu widzenia powinna skakać z radości, ale jakaś nieprofesjonalna jej część podpowiadała, że z pozostania Blake'a w Corella Valley mogą wyniknąć problemy.

Jakie? Po prostu jest w szoku po tym, co się stało. Bo jej braciszek był o włos od śmierci.

Kocha ich wszystkich, całą ósemkę. Jest z nimi związana aż do śmierci. Zapomnij o tym, co czujesz do Blake'a.

– Dlaczego ich zostawiłaś? – zainteresował się.

Skoncentrowała się na stłumieniu gniewu, zakłopotania i innych myśli kłębiących się w jej głowie.

– Myślisz, że powinnam nadal z nimi mieszkać?

– Nie. Ale zastanawiam się, czy wasz ojciec jest bardziej pozbierany niż matka.

– Nie jest. I już tu nie mieszka.

– Współczuję.

– A ja nie. Jeden obowiązek z głowy. O, przepraszam. Wcale nie uważam, żeby wszyscy byli tacy trudni. Są wspaniali. Nickie, Louise i Raymond dostali stypendia i studiują. Donny kończy praktykę w warsztacie samochodowym. Oni są bezpieczni.

– Jak to się stało, że ty też poszłaś na studia? – Mając tyle obowiązków... wyjechała, a potem wróciła?

– Udało mi się. Ojciec nie mógł usiedzieć w jednym miejscu, więc przeprowadziliśmy się do Cairns. To był głupi ruch. Nikogo tam nie znaleźliśmy i ostatecznie wylądowaliśmy na socjalu. Przez cztery lata oszczędzaliśmy, żeby wrócić, więc podstawowe wykształcenie pielęgniarskie zdobyłam jeszcze w Cairns. Gdyby nie to, nic bym nie miała.

– Zostałabyś z rodziną?

– Tak. Dzieciaki mnie kochają i potrzebują, ale dorastają. Po kolei wychodzą w świat, więc muszę zapracować na własną niezależność. Mam gdzie się schronić, ale oni mają siedemnaście, piętnaście, dwanaście i dziesięć lat, więc są za mali, żeby ich obarczać takim ciężarem, jakim jest nasza stuknięta matka. Nie miałam wyboru, dopóki farma twojego ojca nie straciła właściciela.

– Chcesz powiedzieć, że opuściłaś rodzinę, żeby zająć się farmą mojego ojca?

– Opuściłam rodzinę, żeby zadbać o siebie – mruknęła ponuro. – Ojciec odszedł od nas dwa lata temu. Jest taki sam jak mama. Nie ma za grosz poczucia odpowiedzialności. Pół roku temu, kiedy twój ojciec umierał, zjawił się ze swoją nową partnerką. Sashabelle. Co to za imię?! Gruchali i migdalili się na oczach naszej matki. Sashabelle rozplywała się nad Susie i w pewnej chwili powiedziała, że ona też chce mieć córeczkę. Ojciec uśmiechnął się i powiedział: „Sashabelle, kochanie, wiem, że uwielbiasz podróżować, ale jak

chcesz mieć dziecko... W najgorszym razie zawsze możemy je przywieźć Maggie”.

Tego się obawiałam. Tak jak Wendy podrzuciła ci Ruby... z tym że ja miałam na głowie już ośmioro. Więc mu powiedziałam, że po moim trupie, że się wyprowadzam. Musiałam znaleźć miejsce, z którego szybko mogłabym dojechać do rodzeństwa, ale moi beznadziejni rodzice już wiedzą, że postawiłam granicę i że więcej dzieci nie będzie. Jak Susie się usamodzielni, będę wolna. Kocham ich bezgranicznie, ale koniec się zbliża.

– Dlatego nie chcesz Ruby?

Rysy jej stężały.

– Nie – wycedziła – nie dlatego. Nie wezmę jej, bo nie jest moją rodziną. A to, że mnie o to prosisz, uważam za okrutnie nieodpowiedzialne i prostackie. Tak, wynajmuję u ciebie mieszkanie, ale jeżeli ma się to wiązać z przygarnianiem niemowlaków, to się wyprowadzam! Przyjmij to do wiadomości. Jesteśmy na miejscu.

Pulchna kobieta po czterdziestce mocowała na płócie banner: „Tymczasowa przychodnia w Corella Valley”. Do niego przyczepiona była kartka: „Maggie nie ma”.

Gdy przejechali przez bramę, kobieta powitała ich szerokim uśmiechem, po czym odwróciła kartkę.

„Maggie jest”.

– Godny podziwu profesjonalizm – zauważył Blake, a Maggie spojrzała na niego spode łba.

– A ty, mieszcuchu, jak byś to zorganizował?

– Czynne od do.

– A jak kolejne dziecko spadnie z dachu, to mam tu siedzieć? Będę tu w miarę możliwości. – Wysiadła i przywitała się z kobietą.

– Superrobota, Ronnie. Mamy pierwszego pacjenta. Christophera.

Ronnie z westchnieniem zajrzała do tyłu auta.

– Chris, coś ty znowu nabroił? – A gdy Blake wysiadł, podniosła dłoń do ust. – Och...

– Poznaj Blake'a Samforda, syna Boba. Blake jest lekarzem. Blake, to jest Veronica Mayes, inaczej Ronnie. Uczy w szkole, ale szkoła jest po drugiej stronie rzeki.

– Lekarz? – Ronnie szeroko otworzyła oczy. – Tutaj? Maggie, cudownie. Co z Chrisem?

– Spadł z dachu, brzydko rozciął sobie udo. Trzeba założyć mu szwy i Blake zaproponował, że to robi.

– A... a to niemowlę?

– Ruby, jego dziecko. Jeśli ładnie poprosi, to może zechcesz się nią zająć, jak on będzie zszywał Chrisa.

– Przyjechałeś tu z rodziną? – dopytywała się Ronnie.

– Tylko z dzieckiem – odparła Maggie. – Myślę, że wystarczy.

Podczas zabiegu Maggie paplała coś o ulubionej grze wideo do Christophera będącego pod wpływem silnego środka uspokajającego, by dodać mu otuchy, jednocześnie pomagając Blake'owi. Świetna z niej pielęgniarka, pomyślał. Mieszkańcy powinni się cieszyć, że ją mają.

Gdy nakładał opatrunek, Ronnie wsunęła się do sali.

– Maggie, kochana, zjawiała się Joan Kittle z Angusem, bo mały ma atak duszności.

– Angusem ja się zajmę – poinformowała Blake'a. – Łagodna postać astmy, histeryczna mamuśka.

– Ta dolina chyba obfituje w histeryczne mamuśki – mruknął, nie odrywając się od szycia. – Chris, czy twoja siostra może odejść, żeby zająć się

dzieckiem z dusznością?

– Jasne – odparł sennym głosem chłopiec. – Ty zostań ze mną, bo jej potrzebują wszyscy.

Już to zauważył.

Po skończonym zabiegu okrył chłopca kocami. Gdy zaraz potem weszła Ronnie z Ruby na rękach, poprosił ją, by została z Christopherem, a on pójdzie się zorientować, co się dzieje. Angus już wyszedł. Teraz Maggie pochylała się nad paluchem bardzo wiekowego mężczyzny, który wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z obory.

Na widok Blake'a Maggie się uśmiechnęła.

– Pan Bowen wbił sobie drzazgę – oznajmiła.

– Poszedłem w kapciach rąbać drewno – odezwał się staruszek. – Jak idiota. Mógłbym sobie odrąbać stopę. Od rana grzebię tam igłą, ale nie mogę jej znaleźć. Maggie mówi, że pan jest lekarzem.

Chirurg ortopeda ma szukać drzazgi?

Ale się tego podjął. Aby dotrzeć do drzazgi, zaaplikował znieczulenie miejscowe i usunął część paznokcia. Potem nałożył opatrunek, podał antybiotyk i szczepionkę przeciwko tężcowi. Staruszek już szykował się do wyjścia, ale nie powstrzymał się od komentarza.

– Syn Boba, tak? Jesteś inny niż ojciec. Nie wyobrażam sobie, żeby Bob komukolwiek wyjął drzazgę. Raczej by mu ją wbił. Wiem od Ronnie, że przyjechałeś tu z córeczką. No proszę! Nowe pokolenie na farmie Homestead. Powiem żonie, żeby z tej okazji coś upiekła.

Nim Blake zdążył wyprowadzić go z błędu, ktoś klepnął go po plecach. Tymczasem pan Bowen zdążył wyjść.

Blake stał osłupiały. Maggie odwrócona do niego plecami milczała. Bardzo chciał zobaczyć wyraz jej twarzy, bardzo. Lepiej, żeby się nie śmiała.

– Skończone? – zapytała Ronnie, szerzej otwierając drzwi, by widzieli Christophera. – On chce do domu. Odwieszysz go do mamy czy zabierzesz do siebie?

– Chyba muszę go zabrać do siebie – odrzekła Maggie bez przekonania.
– Mama nie będzie go doglądać.

– W takim razie musisz też wziąć Liselle – orzekła Ronnie, po czym przeniosła spojrzenie na Blake'a. – Ona ma siedemnaście lat, więc może go pilnować. I na pewno odetchnie z ulgą od tej okropnej muzyki, której słucha matka. Nareszcie będzie mogła spokojnie się pouczyć. Chyba że doktor Blake przez cały czas będzie w domu.

– Powinien – odezwała się Maggie. – Dochodzi do siebie po operacji.

– Naprawdę? Przyjechałeś do rodzinnego domu na rekonwalescencję? To miłe.

– Przyjechałem... żeby wystawić farmę na sprzedaż – warknął, a ona się uśmiechnęła.

– O, teraz bardziej przypominasz ojca. Ale jesteś przydatny, a to już do twojego ojca niepodobne. Hm, Christopher i Liselle... Maggie, nie pomieścisz ich w tym swoim mieszkanku.

– Christopher może leżeć w moim łóżku. Zmieścimy się we dwoje, a Liselle na kanapie.

– Widziałam tę twoją kanapę – rzuciła z przekąsem Ronnie. – Współczuję Liselle. – Rzuciła Blake'owi filuterne spojrzenie. – W twoim domu są niezliczone pokoje, a co za tym idzie różne łóżka. Jak chcesz być przydatny, to może byś wpuścił tych dwoje? Jak Maggie tam wejdzie, to tylko poodkurzać. Szkoda, żeby te pokoje stały puste.

– Ronnie, przecież wiesz...

– Wiem, ile włożyłaś trudu, żeby odejść z domu, i wiem dlaczego. Ale

to nie ty byś ich do siebie wzięła, tylko doktor Blake, a Liselle w rewanżu od czasu do czasu mogłaby zająć się jego dzieckiem. Uważam, że u was Liselle łatwiej będzie się uczyć niż u waszej mamy.

– Maggie nie wyglądała na przekonaną, więc Ronnie przemówiła do niej łagodniejszym tonem. – Mama chyba sobie poradzi z Pete'em i Susie?

– Chyba tak... Niepokoi mnie Pete. Ma nieobliczalnych koleżków, ale też dostał dwie nowe gry komputerowe, na punkcie których oszalał i obiecał... O Susie się nie martwię, bo bawi się z córeczką sąsiadów, ale...

– Zatem sprawa załatwiona. – Ronnie promieniała.

– Na farmie zamieszka dwoje dorosłych i trójka dzieci. Zmieściłoby się tam więcej, ale na początek i to dobre.

– Ronnie, to jest dom Blake'a.

– Ale on chce być pomocny – odparła niewinnym tonem Ronnie. – Mamy powódź, a w takiej sytuacji wszyscy pomagają wszystkim. Prawda, doktorze?

Otworzyć drzwi domu? Dla trojga dzieci i pielęgniarki? Tego nie ma w umowie podpisanej z Maggie.

To dom pomyślany dla wielu mieszkańców.

Przypomniał sobie, jak matka go meblowała. Przygotowała pięknie urządzone pokoje dla gości, którzy nigdy się nie zjawili. To jedna ze wskazówek, jaki charakter miał ojciec... wszystkich odstraszył.

Ma pięć pokoi oraz mieszkanie wynajęte Maggie. Chyba nic się nie stanie, jeśli ktoś z tego skorzysta.

Dopuścić do swojego życia rodzinę? To rozładuje sytuację. Nie będziesz cały czas skazany na niemowlę. W domu pełnym lokatorów Ruby będzie jednym z nich.

– Zaczyna płakać – zauważyła Ronnie i bez słowa oddała mu kwilące

zawiniątko. – Nic tu po tobie. Wracaj do domu i ją nakarm. Maggie, ty masz co robić. Czy mam pojechać po Liselle i rzeczy Christophera?

– Blake jeszcze się nie zgodził.

Ronnie wzięła się pod boki.

– To jak będzie, doktorze? Mam przywieźć Liselle czy sam zajmiesz się dzieckiem? Liselle pilnuje dzieci na kieszonkowe, uczy się do egzaminów wstępnych na uniwersytet, a Maggie jest jej siostrą. Liselle jest rozsądna.

– Ale sama Maggie... – zaczął bezradnie.

– Maggie ma co robić – zachnęła się Ronnie. – Albo Liselle, albo radź sobie sam. Chyba możesz się zdobyć na wspaniałomyślny gest. Nie musisz być taki jak ojciec.

– To szantaż – wtrąciła Maggie.

– Wiem. – Ronnie się uśmiechnęła. – Ale skuteczny. Popatrz na niego. Nie musisz być taki jak ojciec. Mocno powiedziane. Dolina znalazła się pod wodą, sytuacja jest kryzysowa, więc należy pomóc. Wpuszczając rodzinę?

Właśnie trzyma kawałek rodziny na rękach.

– Zgoda – powiedział, a Ronnie się rozpromieniła. – To bardzo ładnie z twojej strony. Liselle jest śliczna i prawie tak zaradna jak Maggie. Christopher jest bardzo fajnym dzieciakiem, a Maggie jest wspaniała. Zrobiłeś świetny interes.

– Zgoda – powtórzył, ale tym razem zdobył się na blady uśmiech. – Tak zrobimy. – Gdy spojrział na Maggie, zorientował się, że jak on znalazła się w potrzasku.

Oto wspaniała Maggie, pomyślał, która też nie chce bawić się w rodzinę, zatem wpadła w jeszcze większą pułapkę niż on.

– Zgoda – wyrwało mu się po raz trzeci. – Poradzimy sobie, prawda?

Przez tydzień albo coś koło tego...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zanim wyjechali z przychodni, zrobił prześwietlenie stóp Ruby oraz zaopatrzył się we wszystko, co mogło być potrzebne. Należy zająć się nimi jak najprędzej. Prześwietlenie nie wykazało komplikacji, ale im dalej od porodu, tym tkanki stają się mniej elastyczne, co znacznie wydłuża proces leczenia. Dziecko sześciomiesięczne wymagałoby już leczenia operacyjnego, ale Ruby ma dopiero trzy tygodnie, więc jest czas, by odpowiednimi ćwiczeniami nadać jej stopom naturalne ustawienie.

Po powrocie do domu Maggie ulokowała Christophera i Liselle w pokojach sąsiadujących z jej mieszkaniem.

Dokonując skrupulatnych oględzin kończyn noworodka, słyszał ich zachwycone okrzyki na temat przepychu, w jakim kiedyś żyli jego rodzice.

Przydałby się rezonans magnetyczny, ale to oznaczałoby ewakuację. Poza tym, decydując się na to, przyznałby się do czegoś, do czego jeszcze nie dojrzał, a gdyby odesłał samą Ruby, skazałby ją na opiekę społeczną, rodzinę zastępczą i stracił kontrolę nad jej losem.

Nie, jeszcze nie. Miał niejasne przeczucie, że niezależnie od tego, jak potoczy się życie Ruby, chce mieć na nie wpływ. Od kilkunastu godzin ją nosi, karmi, przewija, a pod jej wpływem coś się w nim zmienia. Poczł coś, o co nigdy się nie posadzał. Z Miriam nie rozmawiali od dzieciach, teraz jednak pomyślał, że jego pogląd na życie lekko się chwieje.

Stale wracał do niego obraz maleńkiej dziewczynki, którą widział jeden raz jako małe dziecko. Głośno płakała, a on chciał krzyknąć na dorosłych, by przestali się kłócić i utulili tę małą. Nie zdawał sobie sprawy, jak silnym

piętnem odcisnęła się na małym Blake'u ta scena, ale teraz, tyle lat później, chyba już może coś zrobić.

Maggie tego oczekuje.

Nie było jej w pobliżu, bo siedziała z Christopherem, ale on czuł na sobie jej wzrok. Ocenia go?

Nie szkodzić, to naczelna zasada. Jeszcze raz obejrzał zdjęcia, po czym przystąpił do pierwszego masażu.

Rozłożył na łóżku kaszmirowy szal Maggie. Ruby, już najedzona, nie zapadła w sen, tylko spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami, chyba wręcz zadowolona z tego, co robił jej nóżkom.

Nie przerywając ćwiczeń, uśmiechał się do niej.

– Pięć tygodni – usłyszał za plecami i drgnął, jakby go ktoś przyłapał na kradzieży. Na kradzieży uśmiechu?

– Słucham?

– Dopiero u pięcioletniego niemowlęcia można mieć pewność, że to uśmiech, a nie wiatry – wyjaśniła. – Ale twoje dziecko jest oczywiście wyjątkowe. – Uśmiechnęła się. – Każdy rodzic uważa, że jego dziecko jest mądrzejsze od innych i że to żadne wiatry. Jakie rokowanie?

Każdy rodzic... Powinien się odciąć. Uczynił tak, ale tylko w myślach. Mógłby powiedzieć, że nie jest rodzicem tego dziecka, ale przecież nie po tym, jak prowokował Ruby, by się uśmiechnęła.

– One potrafią chwytać za serce, prawda? – zapytała cicho. – Rodzina. Za tą ścianą Christopher zasypia, ale moje serce dopiero teraz zaczyna bić normalnie.

Christopher ma dwanaście lat, pomyślał. Dwanaście lat niepokoju, a w przypadku Maggie razy osiem.

Nie pojmował takiego przywiązania.

– Pete i Susie są okej pod okiem matki? – zapytał.

– Sugerujesz, że mam ich tu sprowadzić? – Kręciła głową. – O nie. Mama też by się podczepiła. Podejrzewam, że tata ze swoją przyjaciółką mogliby dość do wniosku, że i oni dołączą. Co byś wtedy zrobił?

Spojrzał na nią bezgranicznie zdumiony.

– Nie denerwuj się. Twój ojciec wyświadczył ci dużą przysługę. W całym powiecie wszyscy wiedzą, że Samfordowie są skąpi i gburowaci. Wątpię, żeby mama odważyła się tu zajrzeć i mało ją obchodzi, że Chris się tu znalazł. Ona nie jest okrutna. Nie pije ani nie łośi dzieci pasem. Ona tylko woli zajmować się robieniem herbaty z mniszka lekarskiego albo balsamu z koziego mleka, albo ćwiczy jogę, a dzieci robią, co chcą. Nic im się nie stanie, poza tym jestem niedaleko.

– To znaczy, że nie cała twoja rodzina znajdzie się pod moim dachem?

– Nie daj Boże! – rzuciła pozornie beztroskim tonem.

– Widzę, że zajmujesz się nóżkami Ruby. W czymś ci pomóc?

Znowu ta praktyczna Maggie, zawsze gotowa zrobić to, co konieczne, a potem się usunąć w cień. Powoli zaczynał rozumieć, dlaczego musiała wytyczyć granice.

– Mam wszystko, co potrzebne.

– Widziałam, że coś brałaś z przychodni. Co to jest?

– Wszystko do opatrunków gipsowych. – Wrócił do masowania stopek.

– Nie dostrzegam komplikacji. Widzisz, jak łatwo nimi manipulować? Bez najmniejszego bólu. Wszystkie tkanki jeszcze są miękkie. Trik polega na tym, żeby im nadać naturalne ustawienie, zanim stracą giętkość. Po każdej sesji nakłada się opatrunek gipsowy, i tak co tydzień. Przed ostatnim gipsem będę chyba zmuszony przeciąć ścięgna Achillesa, ale to drobny zabieg, nieporównywalny z zerwaniem tego ścięgna u dorosłych. Ale to zajmie kilka

tygodni.

– Chcesz powiedzieć, że za kilka tygodni będzie wyleczona?

– Nie. Za kilka tygodni stopy będą ustawione prawidłowo. Przez trzy miesiące, dwadzieścia cztery godziny na dobę będzie musiała mieć założoną specjalną szynę, a przez trzy lub cztery lata spać z szyną. Może będzie miała mniejsze stopy i jedna stopa będzie większa, ale zanim pójdzie do szkoły, wszystko się unormuje.

– Niesamowite. Uczyłam się o stopie szpotawej, ale tylko z podręcznika. Wyobrażałam sobie, że to niepełnosprawność na całe życie.

– Pewnie tak samo myśli Wendy.

– Zadzwoń, żeby jej o tym opowiedzieć? Może gdyby wiedziała, że dziecko jest normalne, by go nie porzuciła.

– Też mi to przyszło do głowy.

Przyszło mu do głowy także i to, by zadzwonić i powiedzieć: „Zabierz dziecko, bo jest normalne”. Spojrzał na Ruby. Zdeformowana pokraka.

– Jeszcze nie. Poczekajmy, bo może za nią zatęskni.

Wendy powinna zdobyć się na wysiłek, skontaktować się z nim. Zwrócić małą ludziom, którzy ją odrzucili?

– Ty chyba zaczynasz ją kochać – zauważyła Maggie tonem odkrywcy, a on pomyślał...

Nic nie pomyślał, bo zrobiło mu się gorąco.

Kochać. Co ta Maggie wygaduje?!

Gdy spojrzeł na Ruby, wydało mu się, że mała się uśmiechnęła.

– Wiatry – orzekła Maggie.

– Uśmiech.

– Ach, ci rodzice...

Znowu wstrzymał oddech. Rodzice, rodzina.

– To co robimy? – Kolejna nowość. My.

– Jak chcesz pomóc...

– Oczywiście, że chcę.

Przedstawił jej plan działania.

– Wszystko, co do tego potrzebne, znalazłem w twojej przychodni.

Sama zajmujesz się złamaniami „zielonej gałązki”?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale jak będę musiała, to się zajmę. Nie mogę liczyć wyłącznie na śmigłowiec. Po to mam tu aparat rentgenowski.

– Bardzo się przydał. Po dzisiejszym masażu założymy jej gips, za tydzień go zdejmujemy, zrobimy kolejny masaż. Ostrożnie. Nic na siłę.

– Ma się rozumieć, doktorze. Ruby ma wielkie szczęście, że jej wujek jest ortopedą.

– No nie wiem, czy ona ma szczęście.

– Hm, gdybyś tydzień temu mi powiedział, że szczęściem jest przyjść na świat w rodzinie Samfordów, popukałabym się w czoło niezależnie od wartości rynkowej tego domu. Ale teraz... Poznałam innego Samforda i jestem pełna uznania.

– To nie bądź – mruknął. – Za tydzień wyjadę.

– Przez tydzień postarasz się być sympatyczny?

– Aż otworzą most.

– Okej. Bierzmy się do roboty. Jeśli Ruby i ja mamy w perspektywie tylko jeden sympatyczny tydzień, to musimy maksymalnie to wykorzystać.

Obserwując, jak delikatnie Blake się obchodzi z malutkimi stopkami, a do tego jeszcze się uśmiecha, Maggie nagle przyszło do głowy, że gdyby była starszą panią ze złamaniem stawu biodrowego, bardzo by chciała, by zajął się nią ten człowiek. Nieważne, że to Samford, bo taki uśmiech ma nie tylko dla

tej kruszynki. Uśmiechał się też do Christophera, który panicznie boi się lekarzy i igieł.

Gdy zakładał Ruby gips, nie płakała, sprawiała wrażenie wręcz zadowolonej. Ona też mu ufa, pomyślała Maggie.

Hm... Bardzo seksowny samiec, a takich w Corella Valley niewiele. Nie wolno tracić głowy, bo to... Samford. Syn miejscowego latyfandy, a ona jest córką miejscowych podopiecznych opieki społecznej.

Poza tym wyjedzie za tydzień, a ona zostanie tu do końca życia. Porzuć głupie myśli. Blake wynajmuje jej stróżówkę, więc nie wolno zapominać o profesjonalizmie. Powinna natychmiast wrócić do siebie.

Ale w tej części domu jest Christopher and Liselle, więc musi tu bywać. I tak granice zaczynają się zamazywać.

Gdy kończyli, Ruby spała kamiennym snem. To tyle w kwestii traumatycznych zabiegów medycznych. Wtulona w poduszki, z rączką w buzi, wyglądała na szczęśliwą.

Maggie pozbierała resztki opatrunku, a Blake tymczasem wpatrywał się w Ruby, jakby nie wiedział, co robić dalej.

– Spanie? – Wyrwała go z zadumy. Spojrzał na nią, jakby zapomniał o jej obecności.

– Ona już śpi.

– O tobie mówię. Jesteś po operacji. Założę się, że lekarz zalecił ci odpoczynek.

– Możliwe – mruknął.

– Więc się połóż.

– Muszę ją przesunąć – odparł bezradnie.

Pochyliła się, by na brzegu łóżka ułożyć dwie poduszki. Nawet gdyby Ruby się przeturlała, czego trzytygodniowe maluchy na pewno nie potrafią,

nic by się jej nie stało.

- Druga połowa jest twoja. Będzie lepiej spała, czując twoją obecność.
- Nonsens.

Możliwe, pomyślała, ale mu tego nie powie. Zależało jej, by ktoś poczuł się związany z małą Ruby i został z nią na resztę życia.

– Doskonale się zmieścicie. Marsz do łóżka! Przynieść ci herbatę? Grzankę?

- Nie – odparł. – Nie jestem pacjentem.
- Jeszcze nie wyzdrowiałeś. Traktuję cię jak kurę, która znosi złote jajka. Jesteś moim jedynym chirurgiem po tej stronie rzeki, więc nie zamierzam ryzykować, żeby ci się pogorszyło. Do łóżka! Zaraz ci podam jajecznicę na grzance.

- Maggie...
- Słucham. – Ściągnęła brwi.
- Nic.
- Grzeczny chłopiec. Wskakuj do łóżka z tą swoją małą i pozwól, żeby siostra Maggie decydowała, co dla ciebie dobre.

Chyba wszyscy poszli spać. Zdrzemnęła się nawet Liselle wyczerpana porannym dramatem. Wzięła z sobą podręczniki, ale gdy Maggie do niej zaszła, zastała siostrę otuloną spłóviałą pierzyną i opartą na poduszkach.

- Tutaj jest cudownie – szepnęła. – Mogłabym tu zostać na zawsze.
- Blake chce sprzedać ten dom i wyjeżdża za tydzień.
- Zabrzmiało to tak szorstko, że Liselle z niepokojem przyjrzała się Maggie.

- Martwi cię to?
- Nie...
- To znaczy, że do nas wrócisz. Cieszę się, bo lubię dzielić z tobą

pokój.

Maggie uśmiechnęła się nieszczercze. Powrót do rodzinnego domu...

Ale czy znajdzie coś do wynajęcia w Corella Valley? Blake bierze od niej grosze w rewanżu za opiekę nad domem i psami. Mieszka milę od rodzeństwa, to bezpieczna odległość. Dzisiejszy dzień tego dowiódł.

Gdy w końcu zasiadła na werandzie, zaczęło padać.

Ma dosyć deszczu. Ma dosyć tej doliny.

Nieprawda. Kocha tę dolinę. Pobyt w mieście był koszmarem, więc z ulgą wróciła tutaj razem z rodzicami.

Ale chce być wolna. Jak by to było spędzić dwa tygodnie tam, gdzie nie leje? W zupełnej samotności.

To się nie wydarzy. Jej oszczędności są potrzebne rodzeństwu na podręczniki i zeszyty, bo zasiłek, jaki dostaje matka, na niewiele wystarcza. Rodzeństwo jest zależne od niej. Zatem nie ma wakacji dla Maggie.

Zerknęła na okno Blake'a jakby w obawie, że słyszy jej myśli. Odezwała się jej komórka. Maggie się skrzywiła. Stary pan Macy, który mieszkał wyżej, upadł i leci mu krew z owrzodzeń na nodze. Trzeba jechać.

Na szczęście ma pomocników. Blake'a i Liselle.

Nie musi mówić Blake'owi, że wyjeżdża. Wczoraj podał jej dziecko ze słowami: „To twój problem”. Uśmiechnęła się. Jak teraz wyjedzie, wszyscy lokatorzy będą jego problemem.

Blake kręcił się niespokojnie. Psy już się nauczyły, że dźwięk telefonu oznacza wyjście Maggie. Podrapała go za uchem, po czym na palcach przeszła pod drzwi Blake'a i cicho je otworzyła.

Gdy burza się rozszaleje, psy znajdą schronienie w łóżku Blake'a, albo pod nim, ale to lepsze, niż gdyby miały się trząść ze strachu. Zostawia Blake'a z noworodkiem, psami oraz swoim rodzeństwem.

On dochodzi do siebie po operacji.

– Blake jest dużym chłopcem – mruknęła bez litości.

On smacznie śpi, a ona musi zмагаć się z żywiołem. Właściwie nie ma nic przeciwko temu. Ten dom pełen ludzi to już nie jej odpowiedzialność.

To prawie jak urlop, tylko inaczej.

Obudził go płacz Ruby, dwa zimne psie nosy i dwoje dzieci przyklejonych do framugi drzwi.

Nad nimi szalała burza z piorunami. Nie wiedział, czy to noc, czy to świt, bo błyskawice rozświetlały niebo praktycznie nieustannie.

Chyba był bardzo zmęczony, jeśli spał tak długo, ale nagle kompletnie się rozbudził. To za sprawą psich nosów. Oba zwierzaki trzęsły się jak galareta. Przy kolejnym gromie Ruby rozdarła się na dobre, a dzieci w drzwiach, zorientowawszy się, że on nie śpi, nagle znalazły się w jego łóżku.

Psy też? Dlaczego nie? Znalazł się w środku roztrzęsionej masy przerażonych ciał.

– Hm... to tylko piorun – wykrztusił. W odpowiedzi przyłgnęli do niego mocniej. Odsunął się nieco, by nie urazić nogi Christophera. Z jednej strony Ruby, z drugiej on. Istna kanapka z Blakiem w środku. – Dlaczego nie jesteście w łóżkach?

– Bo się boimy burzy – wyjaśniła Liselle. – A Maggie wyjechała.

Maggie wyjechała. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, że zrobiła to samo co rodzice Ruby, porzuciła ich. Przejechała mostem i uciekła.

– Na stole w kuchni zostawiła kartkę – mówiła przerażona Liselle. – Pan Macy upadł, więc pojechała opatrzyć mu nogę. Napisała, że wróci na podwieczorek, ale że jak bym zaniepokoiła się stanem Christophera, to mam się zgłosić do pana.

– Nie martw się o mnie – odezwał się chłopiec. – Czuję się całkiem

dobrze.

Ale się boi i boli go noga, pomyślał Blake.

– Psy też się boją – szepnęła Liselle.

Blackie przytulał się do Christophera, szturchając go nosem, aż dopiął swego. Koldra lekko się uchyliła, po czym pies wśliznął się pod spód i przeczołgał w ich nogi.

Christopher cicho się zaśmiał.

Za to Ruby płakała coraz głośniej.

Dawno temu w Sydney Blake się zastanawiał, co będzie robił w trakcie przymusowej rekonwalescencji. Miał tam piękne mieszkanie z widokiem na port. Wieczorem przychodziła Miriam. Miał sprzątaczkę i kolegów lekarzy w tym samym bloku. Nie był sam. Koledzy wpadali o różnych porach, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Za decyzją wyjazdu do Corella Valley kryły się względy praktyczne, ale i tęsknota za samotnością.

Bardzo wczesnie nauczył się samotności. Mając skonfliktowanych rodziców, uciekał do własnego świata, a nawet gdy matka wyszła ponownie za osobnika bardziej sensownego, czuł, że powinien pozostawać w tle.

Izolacja chroniła go przed emocjonalnym dramatem. Była jego tarczą. Może dlatego tak dobrze im się układa z Miriam, bo instynktownie szanują osobistą przestrzeń.

Ale od ośmiu lat pracuje w tym samym szpitalu, więc wielu kolegów już jej nie szanuje. To dlatego wybrał się do Corella Valley.

– Zrobię Ruby mleko, dobrze? – zapytała cicho Liselle, a on popatrzył na chudą przestraszoną siedemnastolatkę.

– Sam zrobię. – Wstał, zrzucając przy tym Tipa, który obrzucił go pełnym wyrzutu spojrzeniem.

Kolejny grom i Tip był pod koldrą razem z Blackiem.

- Maggie mówiła, że musi pan dużo odpoczywać.
- Odpocznę, jak zrobię mleko.
- I wróci pan do nas?

Do nas. Owszem, do dużego łóżka, ale aktualnie przepelnionego. Dwoje małolatów, dwa psy, jedno niemowlę.

- Wrócę – odparł, czując, że dziewczyna go podpuszcza.
- Dlaczego nie ma tu Maggie? – zapiszczał Christopher.
- Bo już by się nie zmieściła – mruknął. – Leż spokojnie i nie ruszaj tą nogą! – Po tych słowach ruszył zaspokoić głośno anonsowaną potrzebę swojej siostrzenicy.

Wracała do domu nękana poczuciem winy.

Nic nowego. Całe życie czuje się winna. Od kiedy matka dała jej do zrozumienia, że jest jej potrzebna, cokolwiek Maggie chciała zrobić dla siebie, było stratą czasu.

Teraz... z jednej strony miała ochotę zostać w domu, by obserwować, jak pewien facet nawiązuje więź z pewnym noworodkiem, z drugiej musiała jechać do Roya. On do niej nie był w stanie przyjechać. Sąsiad zaofiarował się, że go przywiezie, ale wiedziała doskonale, co Roy powie: „Coś ty, daj spokój!”.

Mogła wdać się gangrena, więc nasza kochana Maggie, nie zważając na szalejący żywioł, ruszyła z pomocą.

Zostawiając Blake'a ze swoimi podopiecznymi.

Chociaż wcale nie wszyscy byli jej podopiecznymi – za Ruby odpowiada przecież Blake.

Skąd to wrażenie, że i ona odpowiada za Ruby? Bo przywykła żyć w nieustającym poczuciu winy.

- Gdybym wzięła Christophera, to bym się tak nie czuła – mruknęła

sama do siebie.

Nieprawda. Nie można uciec od poczucia winy. Mała Ruby zawładnęła jej sercem i choćby próbowała temu zaprzeczać, wiedziała, że to nieprawda.

– Dopóki woda nie opadnie. Potem wyjadą – mówiła ze wzrokiem wlepionym w zalewaną deszczem szybę. – Nie wiem, co on z nią zrobi, ale to nie mój problem. Niech te deszcze wreszcie się skończą, niech rzeka wróci do koryta, zanim jeszcze bardziej przywiążę się do tej małej.

A do jej opiekuna?

– Nic mnie z nim nie łączy – stwierdziła zdumiona tokiem własnych myśli. – Owszem, jest zabójczo atrakcyjny, ale ja nie mam czasu...

Dostrzegać, że jest przystojny?

Już to dostrzegłaś. Nie, nie ma na to czasu. Ani ochoty. Nieprawda. Jasne, że ma ochotę, ale czy ma szansę na romans, mając na utrzymaniu czwórkę rodzeństwa?

– Za chwilę zaczniesz nucić rzewne piosenki o miłości – mruknęła niezadowolona. – Taka twoja dola. Daj sobie spokój. I przestań rozmyślać o Blake'u, o jego uśmiechu i o jego ramionach, którymi otacza siostrzeniczkę.

Uff.

– Im szybciej woda w rzece opadnie, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. – Zamilkła, bo przez szum ulewy usłyszała inny odgłos.

Narastający z każdą chwilą huk.

Instynktownie skręciła pod górę, w kierunku miejsca, z którego zobaczyła masy wody wdzierające się do doliny przez przerwana tamę. Oraz most porwany przez rozszalały żywioł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Jałówki...

Blake był w łóżku, gdy usłyszał, że woda zerwała most. Pomyślał, że powinien pójść zobaczyć, co się stało, a jednocześnie, że farma jest bezpieczna, bo leży wysoko. Właśnie uspił Ruby, dzieci też zasnęły, więc uznał, że w tej sprawie niewiele może zrobić.

Dopóki nie wróciła Maggie.

– Tama puściła – rzuciła zdyszana. Była kompletnie przemoknięta, woda kapiała jej z włosów, tworząc na podłodze kałużę. – Twoje jałówki...

– Moje jałówki? – Nie rozumiał.

– Twoje cielęta! Roczniaki ojca. Czuję, że most padnie, ale nie tama! Są w zagrodzie w górę drogi, ale droga jest już pod wodą. I duża część wybiegu. Na środku jest mała górka, ale zmieściło się tam tylko kilka, reszta jest zmuszona pływać. Można je przegnać wyżej, ale one widzą tylko tę wysepkę, a na niej mieści się sześć, siedem sztuk. – Potrząsnęła głową. – Liselle nie umie pływać i boi się głębokiej wody. Nie mam nikogo do pomocy. Wiem, że jesteś po operacji, ale nie mam wyboru. Potrzebna mi twoja pomoc i to zaraz!

Zostawili Christophera i Ruby pod opieką Liselle i ruszyli ciągnikiem pod górę. Kierowała Maggie, a Blake stał na stopniu, czując się, jak przystało na chłopaka z miasta, kompletnie nie na miejscu.

Ostatni raz jechał ciągnikiem, gdy miał sześć lat, a teraz przypadła mu rola pomagiera Maggie. Groteskowa sytuacja. Ale gdy zobaczył cielęta, przestało mu być do śmiechu.

– Woda ciągle się podnosi – wyszeptała, zgasiwszy silnik. – O matko,

one się potopią.

Spoglądał na rozlewisko, na przerażone zwierzęta. Większość krów już płynęła, ale tylko w jednym kierunku, ku maleńkiej wysepce, która stawała się coraz mniejsza.

– Za późno – jęknęła. – Myślałam, że jeszcze mi się uda tu wejść i je przepędzić, że wyrąbię dziurę w ogrodzeniu, a ty będziesz je tam kierował. Kiedy się zorientują, że ich koledzy są na suchym lądzie, pójda za nimi. Ale w tej sytuacji nie da rady pływać i jednocześnie je zaganiać.

Zdecydowanie niewykonalne. Nawet najlepszy pływak tego by nie potrafił. Był z nimi Blackie, ale i pies nie miał tu nic do roboty. W milczeniu patrzyli na przerażone zwierzęta. Nagle...

– Kajak – wyrwało się Blake'owi, który stał ze wzrokiem wbitym w cieleta.

– Kajak?

– Pod domem leży kajak, a przynajmniej leżał, taka wysłużona kanadyjka. Trochę pływałem, więc bym sobie poradził. Ale, Maggie, sam tego nie zrobię. Po pierwsze muszę pamiętać o szwach, a po drugie nie mam pojęcia o zaganianiu bydła. Myślę, że wiosłowanie mi nie zaszkodzi. Bylebym nie przesadził.

– O czym ty mówisz?! – Strach jej nie opuszczał.

– Musimy wciągnąć kajak na ciągnik. We dwoje, ale do pomocy mamy Liselle. Przywieziemy go tutaj. Potem... Myślisz, że jak posadzimy Blackiego na dziobie, to uda ci się go namówić, żeby szczekał?

– On szczeka na komendę. – Nareszcie pojęła jego plan.

– Znajdziemy się wśród nich ze szczekającym psem... Jeśli mi powiesz, jak mam płynąć, żeby skierować je na brzeg...

– Aha! – Zapomniała o rozpacz. W okamgnieniu przeistoczyła się w

kobietę czynu, która ma plan wyjścia z beznadziejnej sytuacji. – Na co czekasz?

Dziesięć minut później byli z powrotem.

W strugach deszczu razem z Liselle wyciągnęli spod domu obdrapany kajak i zarzucili na dach ciągnika tak, żeby Blake mógł go przytrzymać. Mam szwy wewnętrzne, pomyślał. Gdyby chodziło o pacjenta, powiedziałbyś mu, że chyba upadł na głowę. Ale osiemdziesiąt topiących się jałówek nie dawało mu wyboru.

Maggie jechała, nie zważając na nierówności terenu, ścinała zakręty, byle szybciej.

– Twoja druga specjalność to kierowca wyścigowy? – zapytał słabym głosem, a ona się uśmiechnęła.

– Zazdrościsz? Blake, one ciągle tam są!

Gdy zahamowała, błyskawicznie ściągnęli z dachu kajak, co było znacznie łatwiejsze niż załadowanie, po czym zepchnęli go do wody. Kiedy Blake sięgnął po wiosło, Maggie wrzuciła do kajaka nożyce do prętów stalowych, posadziła Blackiego na dziobie, po czym sama wsiadła.

– Dopłyniesz na drugi koniec?

Do końca zagrody? No tak, ta część też znalazła się już pod wodą, ale zaraz za ogrodzeniem dostrzegł wzniesienie gruntu. Tam na pewno było sucho.

– Przetnę ogrodzenie. Uda mi się je wyprowadzić, jeśli ty i Blackie skierujecie je w moją stronę. Są przestraszone, ale ruszą za przewodnikiem. Nie są takie głupie jak owce. Jak podpłyniecie do tej wysepki i je z niej wypłoszycie, zaczną się rozglądać za drugim takim miejscem. Zobaczą mnie i przejście w ogrodzeniu. Będzie dobrze. Do roboty!

Tydzień temu usunęli mu wyrostek. Nie miała złudzeń, że nie powinien

wiosłować. Powinien leżeć w łóżku i spokojnie zdrowieć. Nie należało go prosić o pomoc.

Alternatywą było skazanie na śmierć osiemdziesięciu jałówek. Nie mogła się na to zgodzić. Ani on.

Tak jak nie potrafił odesłać Ruby? Ma miękkie serce, pomyślała, ale udaje twardziela.

Miał na sobie drelichowe spodnie i bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami. Wcześniej zdjął buty. Mokra koszula oblepiała mu tors, uwypuklając każdy mięsień. Mokre włosy opadały mu na oczy, a strugi deszczu zalewały twarz.

Skupiony na zadaniu wyglądał jak wojownik, pomyślała całkiem niestosownie. Silny i niebezpieczny. Wyobraziła go sobie nad stołem operacyjnym. W trakcie praktyki na bloku miała okazję obserwować takich facetów przy pracy. Do nich należała decyzja o czyimś życiu...

Do tej pory nie potrafiła zrozumieć, skąd czerpią odwagę, by dokonać pierwszego cięcia, ale tego dnia to pojęła. Zapominają o otoczeniu i o bólu, a jego na pewno boli, bo to dopiero tydzień od operacji. Mimo to wiosłuje, totalnie skoncentrowany jakby stawką był medal olimpijski, a nie stado krów.

– Blake...

– Tak? – Krótko, zwięźle jak na bloku operacyjnym. Jakby chciał się dowiedzieć, dlaczego pielęgniarka przeszkadza mu w pracy. Skupiony, ale nie na tyle, by zapomnieć o ewentualnych komplikacjach.

Chciała mu pomóc, ale mieli tylko jedno wiosło, więc siedziała na dziobie niczym królowna i trzymała psa.

– Oplyń wysepkę z daleka, żeby się nie spłoszyły, dopóki nie wytnę przejścia w ogrodzeniu.

– Rozumiem. – Kajak lekko zmienił kurs.

Duży sukces, pomyślała, bo była to kanadyjka starego typu, wysoka i chybotliwa, a pod powierzchnią wody czyhały różne przeszkody. Siedziała bez ruchu i trzymała psa, jakby swoim skupieniem chciała pomóc wiosłującemu.

Bez wątpienia ćwicz. Może biega? Coś musi robić, żeby zachować taką kondycję.

Zerknęła na jałówki akurat w chwili, kiedy jedna z nich ześliznęła się z wysepki i zniknęła pod wodą. Wstrzymała oddech, ale krowa wynurzyła łeb z wody. Osiemdziesiąt jałówek musi polegać na jednym osłabionym chirurgu. Ona też jest zmuszona polegać na tym chirurgu.

W końcu dopłynęli pod ogrodzenie, gdzie było całkiem płytko. Wyskoczyła z kajaka i od razu zabrała się do przecinania prętów.

– Zostań! – poleciała Blackiemu. – Siad! Zostań.

Pies zaskamlał, ale posłuchał, a Blake zawrócił na środek rozlewiska. Maggie przecinała pręty z siłą, o jaką się nie podejrzewała, a gdy już ostatni kawałek upadł na ziemię, wyszła z wody, by wspiać się na wzniesienie w nadziei, że jałówki zauważą przejście oraz ją na suchym gruncie.

– Oj! – zawołała, by zwrócić na siebie ich uwagę. – Oj, oj, oj!

Blake był już za wysepką, wymijając pływające zwierzęta, by dostać się do tych na wysepce.

– Głos! – zawołała Maggie i Blackie zaczął szczekać.

Pies szczekał, Maggie wołała, a Blake podpływał do wysepki tak, by znaleźć się za stadkiem. Wsiadł na skrawku ziemi i zaczął je zganiać do wody.

Nie znał się na krowach ani one go nie znały. Może to nawet dobrze, bo uznały, że on oraz ujadanie psa zagrażają im bardziej niż woda. Do niej przed nim uciekały. On wymachiwał ramionami jak wariat, a Blackie szczekał,

więc nie pozostało im nic innego, jak szukać ratunku w wodzie. I u Maggie. Stał na skrawku ziemi zewsząd otoczonym wodą, machał rękami i wrzeszczał jak opętany. Mimo to miał czas na myślenie... Przyszło mu do głowy, że Maggie jest zachwycająca.

W spłóviałych dzinsach i mokrej koszuli. Przemoczona do nitki, z włosami w strąkach, na bosaka. Darła się głośniejsz niż on, a jałówki... pływały do niej. Nic w tym dziwnego.

Co jest w niej takiego ładnego? Budowa? Rysy twarzy? Szyk? Hm... no nie, nic z tych rzeczy. Chociaż piegi i rozkoszne krągłości też się liczą.

To jej odwaga, podejście do życia.

To, że odmówiła opieki nad jego dzieckiem?

Ale jest opiekuńcza. Instyktownie czuł, że gdyby go tu nie było, gdyby Maggie się nie zorientowała, że on z powodzeniem może zająć się siostrzeniczką, wzięłaby to na siebie. Pamiętał, jak poprzedniego dnia zajęła się Christopherem i Liselle. Przypuszczał, że w sytuacji dramatycznej byłaby skłonna dzielić swoje mieszkanie z jeszcze większą liczbą osób.

To, że zaproponował im pokoje w swojej części domu, przyjęła z wdzięcznością i zdziwieniem. Zaczął się zastanawiać, ile już takich sytuacji miało miejsce, odkąd sprowadziła się do stróżówki. Domyślał się też, że bez zachęty z jego strony nie odważyłaby się wprowadzić kogokolwiek do jego części domostwa.

Nie nazwałby tego swoim gniazdem rodzinnym. Było to raczej mauzoleum urządzone jeszcze przez jego matkę i od tamtej pory nietknięte. Tego poranka, jeszcze w łóżku, poczuł się jak u siebie. W dzieciństwie to uczucie było mu obce. Za sprawą Maggie?

– Oj, oj, oj!

Uporczywe nawoływanie sprawiło, że wrócił na ziemię. Krowy zbijały

się w wodzie w grupki, płynęły całym stadem, ale przemieszczały się niedokładnie tam, dokąd należało. Nie zauważyły przerwy w ogrodzeniu.

No, chłopie, wskakuj do łódki!

– Dobrze się czujesz? – zawołała. W tym zamęcie miała jeszcze głowę pamiętać o jego szwach.

– Mamy się świetnie – odkrzyknął. – Ja jestem bosmanem, a Blackie sternikiem. Kiedy namówię krowy, żeby do nas dołączyły, to będzie nas cała załoga.

Czuł klucie w boku. Ostre. Co powiedział chirurg? Żadnego rozciągania przez sześć tygodni. Ha! Zapomnij. Ruszył za krowami, starając się myśleć o nich, nie o bólu. Odciał im odwrót, po czym zaczął spychać w bok. Niektóre przestraszone sztuki mu się wymykały, ale razem z psem je zawracali, popychając kajakiem, krzyżąc i szczekając.

Są zmęczone, pomyślał, lada chwila zaczną się topić... Ogrodzenie miało z półtora metra wysokości, więc przejście było widoczne. Muszą je zobaczyć! Jeżeli je dostrzegą, będą uratowane.

– Oj, oj, oj! – odezwała się znowu Maggie, a Blackie zaszczeakał. Pierwsza krowa uniosła łeb, jakby szukając ostatniej szansy ratunku...

Zobaczyła! Chwilę później całe stado tłoczyło się do przerwy w ogrodzeniu. Zwierzęta stopniowo wynurzały się z wody, znajdowały grunt pod nogami, wdrapywały się na brzeg. Wyskakiwały do góry, jakby woda je goniła. Znalazłszy się na stałym gruncie, stawały się zwyczajnymi roczniakami. Miały miny jak małe dzieci po mroźnej krew w żyłach przygodzie, którą można pochwalić się przed kolegami. Kilka nawet dziarsko podskoczyło. Chyba z radości.

Blake ciągle wiosłował, a gdy dopłynął do ogrodzenia, Maggie szybko zaczęła wyciągać kajak na brzeg.

– Sam... – Pochylił się z wyciągniętą ręką, ale go odepchnęła.

– Nie wolno ci. – Zorientował się, że ona płacze. – Nie powinnam ci była pozwolić... Mogłeś pozrywać szwy. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyłam, ile wysiłku wymaga wiosłowanie. Źle, że ci pozwoliłam...

Trzeba skończyć ten dramat, pomyślał.

– Czuję, że moja komórka się utopiła. – Wyjął z mokrej kieszeni telefon i z niepokojem na niego popatrzył.

– Ale ja żyję. Na dodatek jestem z siebie bardzo zadowolony. – Mimo jej protestów pomógł wyciągnąć kajak na brzeg. Tyle razy już napinał mięśnie, więc jeszcze ten jeden raz mu nie zaszkodzi.

Maggie dalej sprawiała wrażenie przerażonej, jakby świat miał się zaraz zawalić. Starał się tego nie dostrzegać. Przeniósł wzrok na krowy, które brykały jak przystało na roczniaki. Nie mógł jednak się powstrzymać, by znowu nie zerknąć na Maggie. Stała przemoczona, po jej policzkach spływały łzy zmieszane ze strugami deszczu. Coś w nim drgnęło. Nie zdarzało mu się to wcześniej.

Jaka piękna, pomyślał, po prostu nieopisanie piękna.

Zrobiła wszystko, by ratować krowy, a teraz dręczy ją poczucie winy. Dlatego, że uratowała nie swoje stado. Dlatego, że naraziła go na ryzyko. Nawet z powodu jego zamoczonego telefonu? Niesamowita kobieta. Nim się zorientował, co robi, przyciągnął ją do siebie i przytulił.

Bała się, ale prawdę mówiąc, on też się bał. Czuł się zagrożony, bolały go szwy, martwił się, że te cholerne krowy się potopiają. To nic złego ją objąć, by dodać jej otuchy... i żeby samemu się pocieszyć.

Przytulał ją tak mocno, że nie mógł się zorientować, czyje serce bije mocniej.

– Dokonaliśmy cudu – szepnęła z twarzą wtuloną w jego tors. – Byłeś rewelacyjny. Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. – Zorientował się, że jej serce bije tak szybko z powodu strachu zarówno o niego, jak i o krowy.

Ujął ją pod brodę, by spojrzeć mu w oczy. Wyczytał w nich strach i poczucie winy.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją. – Czuję się świetnie, a ty jesteś wspaniała.

Gdy nie odwróciła wzroku, nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pocałować.

Bała się, że straci osiemdziesiąt jałówek, że przez nią Blake pozrywa sobie szwy, a sekundę później całował ją tak namiętnie, że i teraz była bezradna.

Wcale jej na tym nie zależało. Gdyby chciała, mogła się odsunąć. Nie obejmował jej aż tak mocno, żeby to było niemożliwe. Ale po co miała się wyrywać, skoro całował ją tak... płomiennie. Dlaczego czuje oblewający ją żar, skoro jest zziębnięta, przemoczona i roztrzęsiona po tym, co się wydarzyło? Nie było na to odpowiedzi, bo w tej samej chwili zapomniała, o co jej chodzi.

Zapomniała o bożym świecie.

Czuła tylko jego wargi, siłę, ciepło i... męskość. W jej życiu pojawiało się niewielu mężczyzn, zbyt mało okazji oraz czasu. Nie była to ani odpowiednia okazja ani odpowiednia pora, ale nie miała ochoty wyzwać się z objąć Blake'a.

Pozornie bezwiednie, wręcz samowolnie jej wargi się rozchyliły, jakby tego pragnęła. Pragnąć go?

Tak, bardzo go pragnie. Przyłgnęła do niego całym ciałem, bo mokre

koszule nie stanowiły żadnej bariery między nimi i rozpalonym do białości pożądaniem.

Rozpływała się, jednocześnie pragnąc jeszcze większej bliskości. Czuła, że cała płonie, że jej ciało krzyczy, bo Blake należy do niej, a ona do Blake'a.

Zapewne miał to być pocałunek podyktowany ulgą i chęcią pocieszenia. Bez wątpienia był pocałunkiem wynikającym z potrzeby, bo oboje potrzebowali kontaktu z drugim człowiekiem, by poczuć się bezpiecznie, by dotarło do nich, że żyją dalej i że odnieśli sukces. Jednak okazało się to czymś więcej. Ten pocałunek ją zmienił, sprawił, że po raz pierwszy w życiu... rozszalały się jej wszystkie zmysły.

Śpiąca Królowna obudzona pocałunkiem? Absurd. Kilka jeszcze przytomnych komórek jej mózgu analizowało sytuację. Jakby spadała ze skały, zastanawiając się, co się właściwie z nią dzieje. Mimo że ziemia usuwała się jej spod stóp, czuła się wyjątkowo dobrze.

Skąd to gorąco? Co sprawia, że ma wrażenie, że się smaży, budzi z głębokiego snu, doznaje czegoś, co wydawało się niemożliwe?

Spada, ale mało ją to obchodzi. Na razie było cudownie. Jak wysoka jest ta skała? Jak długo będzie swobodnie spadać, delektując się chwilą, ciepłem, siłą, dotykiem rąk, które trzymają ją w opiekuńczym uścisku?

Silna Maggie rozpływa się pod wpływem męskiej dłoni. I jest zachwycona. I wówczas Blackie szczechnął.

Wykonał swoje zadanie i domaga się pochwał albo uznał, że obcy mężczyzna molestuje jego panią i trzeba coś zrobić. Gdy szczechnął ponownie, Maggie z ociąganiem uwolniła się z objęć Blake'a.

Koniec swobodnego spadania, dotarła do miejsca przeznaczenia. Niemal bała się, że się roztrzaska. To dziwne, ale poczuła się... poobijana?

Oszołomiona? Na pewno zagubiona.

– Jak to się stało? – szepnął Blake. Jakaś nuta w jego głosie była dla niej wskazówką, że i on jest speszony. – Myślisz, że to adrenalina?

– Albo coś w wodzie – wykrztusiła, odwracając się, by popatrzeć na wzgórze.

Jałówki doszły do siebie. Weszły już na szczyt i spokojnie szczypały trawę. Ich życie wróciło do normy.

Maggie starała się zapanować nad oddechem, wyciszyć emocje wywołane tym niezwykłym pocałunkiem, przestawić życie na znajome tory.

– Ta sprawa załatwiona. Spisaliśmy się na medal. Blake, dziękuję, bez ciebie bym tego nie dokonała.

– To moje krowy.

– Nie troszczysz się o nie od lat.

– Maggie...? – Nie odwrócił się, by popatrzeć na krowy, przez cały czas nie zdejmował z niej spojrzenia.

– Mm...?

– Czuję się za nie odpowiedzialny i bardzo jestem ci wdzięczny – dodał. – I dziękuję za pocałunek. Był...

– Miły – ucięła. – Bardzo przyjemny, ale nie martw się, że oczekuję czegoś więcej. Mieszkamy pod jednym dachem, ale między nami są drzwi zamykane na klucz.

– Oraz dwoje nastolatków i niemowlę.

– Oni też. – Zawahała się. – Nie mam pojęcia, co mnie naszło.

– Co nas naszło.

– Tak, nas – powtórzyła. – Ale... muszę wracać do pracy. Na pewno nic ci nie jest? Mogę obejrzeć bliźnę?

– Nie!

– Tak myślałam. – Uśmiechnęła się. – Powiesz, jak coś będzie nie w porządku?

– Raczej nie.

– To mnie pocieszyło.

– Boli mnie – przyznał – ale to nie jest przeszywający ból. Chyba naciągnąłem szwy, ale nie zerwałem. Płyniemy kajakiem na drugą stronę?

– Nie. Zgodziłam się, żebyś zaryzykował dla osiemdziesięciu krów, teraz ważniejsze są twoje szwy. Przy – wiążemy go tutaj, bo jeszcze może się przydać. Obejdę rozlewisko i przyprowadzę ciągnik do domu, ty idź górą, żebyś nie przemoczył się jeszcze bardziej.

– Maggie...

– Uhm?

Obserwował, jak przywiązuje kanadyjkę do słupka ogrodzeniowego. Dała mu do zrozumienia, nie, zarządziła, że mają iść każde swoją ścieżką.

Na pewno rozsądnie. Ona taka jest, rozsądna. Ale też krucha i... piękna. Do tego obarczona rodzeństwem, rodziną i odpowiedzialnością, przykuta do życia, jakiego nie potrafił sobie wyobrazić.

Brnęła przez wodę w stronę ciągnika. Zdaży wrócić do domu i pójść do przychodni. Na pewno ktoś będzie jej potrzebował. Miejscowi żyli w przeświadczeniu, że tamy nic nie ruszy. W myślach wyliczała rodziny mieszkające w jej pobliżu. Na pewno nie tylko ona i Blake zostali w trybie nagłym zmuszeni wyprowadzić stada wyżej. W takich sytuacjach ludzie tracą rozum, ryzykują...

Jak Blake. Nie powinna była prosić go o pomoc. Manewrowanie ciężkim kajakiem...

Może mnie podać do sądu, pomyślała ponuro. No, ale to jego jałówki. Mógł jednak powiedzieć: „Niech się utopia”. Nie zrobił tak, podobnie jak nie

potrafił wysłać Ruby śmigłowcem i oddać w inne ręce.

W jej myślach zapanował zamęt. Jak on trzyma małą na rękach, jak na nią patrzy... Jak patrzy na nią, na Maggie. W jego życiu musiało wydarzyć się coś, o czym ona nie wie. Wpatruje się w Ruby... tak łakomie.

Uśmiechnęła się. Nie, nie da się nabrać: to nie jest wielki zły wilk. Czego tak bardzo mu brakuje?

Jak wyglądało dzieciństwo Blake'a? Jego matka była piękna i lekkomyślna. Mówiono, że wyszła za Samforda dla pieniędzy. Ojciec był bez dwóch zdań wyjątkowym prostytutkiem. Co to znaczyło dla małego Blake'a?

I dlaczego ją pocałował? Idąc, dotknęła palcem warg. Wydały się jej... zmienione. Dlaczego ją całował?

– Kto to wie? – mruknęła, brodząc przez rozlewisko.

– Z twojego powodu? Przecież wiesz. Uznaliśmy, że jałówki się potopiają, uratowaliśmy je, a w chwilach zwycięstwa ludzie się całują.

Ale to nie to. Pewnie wszystko dlatego, że jest prawie trzydziestoletnią starą panną i nie ma własnego życia. Dlatego że cały czas albo pracuje, albo zajmuje się rodzeństwem, a hormony mówią, że to nie wystarczy. Co z tym zrobić? Roześmiała się, bo kilka odpowiedzi знаła, a niektórych pytań nawet nie warto było stawiać.

Co zamierza zrobić? Nic.

Ma pracę. Niemal połowa jej pensji idzie na potrzeby rodzeństwa, na jego wykształcenie, na to, by wyrwało się z doliny oraz uwolniło od przesadnych oczekiwań matki. Reszta, poza bardzo skromną sumką odkładaną na czarną godzinę, szła na życie. Żeby miała siłę pracować i czuwać nad rodzeństwem.

Za jakiś czas woda opadnie, a Blake wyjedzie. Koniec bajki. Ale dopóki Blake jest tutaj...

– Wybij to sobie z głowy. – Kopnęła wodę z taką energią, że się ochlapała. – To właściciel mojego mieszkania, a jeśli nic mu się dzisiaj nie stało, to jest lekarzem, który może mi się przydać. Maggie, otrząśnij się. I to zaraz.

TTLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wrócił do domu, gdzie zastał jeszcze więcej dzieci. Plus matkę Maggie. Liselle z Ruby siedziała na werandzie. Odniósł wrażenie, że patrzy na matkę, jakby chciała ją odstraszyć.

– Doktor... – wyszeptała z ulgą w głosie. – Ja... jej nie zapraszałam.

Potem nadjechała Maggie. Wysiadła z ciągnika, przeszła rozmokłym podjazdem, zatrzymała się obok Blake'a... i zobaczyła matkę.

– Mama – powiedziała bez entuzjazmu, ale Barbie się rozpromieniła. Przez chwilę stała obok zdezelowanego auta, po czym wyjęła z bagażnika walizkę.

– Jak tu pięknie! To bardzo ładnie ze strony doktora Samforda, że zgodził się udzielić nam schronienia. Czy pamiętasz, że w naszym salonie przecieka sufit? Mówiłam ci o tym tydzień temu, a nic z tym nie zrobiłaś. Na dodatek tama nie wytrzymała, a dzieci się boją.

Hipiska pod pięćdziesiątkę. Długie spódnice, paciorki, farbowane blond włosy do ramion.

Aż się wzdrygnął. Maggie chyba też.

– Nie wprowadzisz się tu – powiedziała tonem tak lodowatym, że Blake'owi ścierpła skóra.

– Sama tam nie zostanę! – zapiszczała Barbie. – Chyba sobie tego nie wyobrażasz. Dzisiaj w nocy musiałam przenieść się do łóżka Susie, bo na moje kapie woda, a poza tym dwójka najmłodszych się za tobą stęskniła.

Dla potwierdzenia Susie przysunęła się do Maggie i chwyciła jej rękę. Nie uszło jego uwadze, że Maggie nagle się przygarbiła. Wygląda jak jelen znieruchomiały w świetle reflektorów, pomyślał. Wyrwała się ze szponów

rodziny, ale rodzina ją dopadła.

– Doktorze, wniesie pan moją walizkę? – zapytała Barbie, po czym kokieteryjnie się uśmiechnęła.

Ma prawo, by się nią opiekowano.

Blake powiódł wzrokiem od niej ku Maggie. Ta kobieta nie wyglądała jak jego matka, ale mimo to dostrzegł pewne podobieństwo. Bez wątpienia matka wyszła za ojca dla pieniędzy, a potem za jeszcze trzech facetów, oczekując, że będą spełniali jej kaprysy. Aktualnie przebywała w Stanach z kolejnym kochasiem.

Matka Maggie nie dorównywała urodą jego matce, brakowało jej też klasy wabiącej wielbicieli, ale widząc, jak Barbie spogląda na Maggie, resztę mógł sobie do – śpiewać. Maggie jest jej służką.

Należy położyć temu kres.

– Rodzeństwo Maggie może tu mieszkać, dopóki woda nie opadnie – odezwał się – ale nikt inny. Informacja o ewakuacji zaleca osobom zagrożonym przenieść się do sali na plebanii. Jeśli dzieciaki chcą tam z panią pojechać, nie widzę przeszkód.

– Nie może pan rozdzielać mnie z dziećmi!

– Nie rozdzielam. – Wziął od zdumionej Liselle małą Ruby. – Jest mi obojętne, czy pani dzieci tu zostaną, czy nie – dodał znudzonym tonem, dając jej do zrozumienia, że wybór należy do niej. – Jak Maggie chce, żeby tu zostały, to bardzo proszę. Jeśli pani nie wyraża na to zgody, to mnie nic do tego. Mówię tylko, że zaproszenie obejmuje wyłącznie dzieci. Załatwcie to między sobą, bo muszę nakarmić małą.

Wszedł do swojej części domu i zamknął za sobą drzwi, odgradzając się od Tildenów.

Odszukała go dziesięć minut później w kuchni, gdzie przygotowywał

mieszkanke. Ruby czekała w swojej szufladzie tuż przy piecu, a on był jak w swoim żywiole, a zarazem jakby się znalazł na innej planecie. Zamieszkaney przez niemowlęta, dzieci, psy, krowy oraz matki. I Maggie.

Gdy wsunęła się przez drzwi, mało brakowało, a upuściłby butelkę, by ją objąć. Dawno nie widział kobiety tak... zbitej z tropu.

– Bardzo mi przykro – zaczęła – ale wszyscy chcą tu zostać. Nie przekonam ich, że mają z nią pojechać.

– Ona tu nie zostanie – uciął krótko. Rozdzielał właśnie proszek do butelek, ale gdy podniósł na nią wzrok, napięcie nieco zmalowało. – Jeżeli tu wejdzie, wyrzucę ją za drzwi.

– Mogę... mogę zapytać dlaczego?

– Bo cię wykorzystuje. Nie znam twojej przeszłości, Maggie, ale dobrze wiem, co to koszmarni rodzice. Unikałem ojca i nadal unikam matki. Ty masz też do tego prawo. Odjechała?

– Tak, ale reszta została.

– Cała ósemka?

Zdobyła się blady uśmiech.

– Nie, tylko czworo.

– Razem z Ruby to piątka. Mamy pełny dom.

– Blake, nie miałam zamiaru niczego ci narzucać...

– Gdybyś chciała cokolwiek na mnie wymusić, jak twoja matka, też kazałbym ci spakować manatki. – W dalszym ciągu skupiał się na butelkach.

– Maggie, to ja ich zaprosiłem, nie ty. Rozumiem, że dzieci się boją i że cię potrzebują. Mogą tu zostać, ale tylko dopóki droga jest nieprzejezdna. To nie jest zaproszenie otwarte.

– Jesteś wspaniały.

– Wcale nie.

– Tak, niesamowity. Powiedziałeś Chrisowi, że jest bohaterem, ale ty jesteś jeszcze większym bohaterem, bo uratowałeś jego i krowy, a teraz moje rodzeństwo.

– Ale ty wcale ich tu nie chcesz.

Trafił w sedno.

– Mam takie głupie marzenie – przemówiła po chwili zastanowienia. – Odkąd pamiętam, zawsze było: „Maggie, popilnuj braciszka, idź z Liselle na spacer, nie idź do szkoły, bo my z ojcem mamy występ...”. Najczęściej się na to zgadzam, ale czasem śni mi się, że wędruję z plecakiem po Europie albo że sącę wino na lewym brzegu Sekwany w Paryżu, albo oglądam zachód słońca nad Nilem i całymi godzinami nikt do mnie nic nie mówi. To naiwny sen, ale stale powraca. Obiecałam sobie, że wprowadzę to w życie, jak dzieci będą starsze. Ale niedawno, po tym jak rodzice się rozstali, zauważyłam, że oni też stają się uzależnieni. Zaczynam się bać, bo do tej pory zajmowałam się ich potomstwem, a niedługo pewnie przyjdzie mi opiekować się nimi.

– Tak się nie stanie.

– No nie – odrzekła cicho – dlatego się wyprowadziłam. Ale dzieci ciągle mnie potrzebują, więc pewnie z powrotem wyląduję w rodzinnym domu. – Westchnęła. – Jednak jeszcze nie dziś. Dziś rozwiązałeś ten problem za mnie. Pozwoliłeś mi zaopiekować się rodzeństwem i zmusiłeś matkę, żeby sama o siebie zadbała. Dzięki tobie nawet nie musiałam być dla niej nieprzyjemna. Co więcej, ratowałeś jałówki. Nie darowałabym sobie, gdyby się potopiły. Nie powinnam cię o to prosić, ale musiałam. Za to teraz...

Spojrzała na Ruby, która nie spała, ale też i niczego się nie domagała.

– Teraz obejrzę ci brzuch – oznajmiła, wskazując ławę. – Połóż się, żebym mogła go obejrzeć.

– Nie ma takiej potrzeby. – Spoglądał na nią zdumiony: przed chwilą

była wdzięczna i wzruszona, ale nagle stała się szorstka, zasadnicza i despotyczna. – Nic mi nie jest.

– Zrób to dla mnie. Wyobrażasz sobie, że mogłabym dzisiaj spać spokojnie, podejrzewając, że zrobiłeś sobie krzywdę?

– Maggie...

– Jesteś bohaterem, a bohater nie boi się pokazać kawałka brzucha.

– Sam się obejrzę.

– Doktor będzie sam się leczył? – Sparafrazowała znane powiedzenie. – Wątpię. Zrób mi przyjemność i się połóż.

– Maggie...

– Kładź się. – Spoglądała na niego niewzruszona. Kobieta, która wychowała ośmioro dzieci, pomyślał, czując się jak dziewiąte. – No już. – Wyjęła mu z ręki butelkę i odstawiła na ławę. – Połóż się.

Właściwie dlaczego nie? Bo poczuł się nieswojo? Boi się obnażyć, by nie poczuć się bezbronny? Bo nie chce, żeby traktowała go jak pacjenta? Durne argumenty.

Przecież go boli, bo naciągnął sobie szwy. Westchnąwszy, położył się na ławie, podciągnął koszulę i rozpiął pasek od spodni. Nie przejmowałby się, gdyby to była Miriam, bo łączy ich profesjonalizm. Więc jaka to różnica? Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Mógł tylko leżeć i grzecznie czekać.

Przeforsował się. Widziała, jak się skrzywił, wysiadając z kajaka, oraz podejrzaną plamkę krwi na spodniach, więc czuła, że musi to obejrzeć. On też wie, że to konieczne, pomyślała. Jako facet nie chce, by się do niego zbliżała, jako lekarz wie, że musi się temu poddać.

Gdy podciągnął koszulę i rozluźnił pasek, rozpięła mu spodnie. Poczawszy pod palcami twarde mięśnie, spojrzała na jego ściągnięte rysy. Nie sprawiła mu bólu, bo ledwie go dotknęła. On nie cierpi się odsłaniać, to

osobnik, który chodzi własnymi ścieżkami.

Ale nie dzisiaj. Pięcioro dzieci, dwa psy i ona. Jego życie jest w jej rękach. Nie miałyby nic przeciwko...

O nie. Wróciło wspomnienie tamtego pocałunku i nagle Maggie niemal zapomniała o profesjonalizmie. Pochyliła się nad rozebranym częściowo mężczyzną – robiła to już nieraz, jednak tym razem nie czuła się jak pielęgniarka. Chciała...

Ale nie mogła, bo to pacjent!

Skup się. Rana się otworzyła, ale tylko na jednym końcu. Szwy wewnętrzne nie puściły, nie ma obrzęku, nic nie wskazuje na krwawienie wewnętrzne. Blake się krzywi, lecz na pewno nie wije się z bólu.

– W porządku – orzekła, ale on z dłońmi splecionymi pod głową ponuro wpatrywał się w sufit, jakby spodziewał się, że Maggie zaatakuje go skalpelem. – Ej, nie mam zamiaru zapuszczać się niżej – zażartowała. – Ograniczę się do zdezynfekowania rany i plasterka. I każę ci dobrze się wyspać.

Trochę się rozluźnił, ale nadal czuł się niepewnie.

– Możesz mi powiedzieć, co ci chodzi po głowie? – zapytała, przewidując, że nie odpowie albo zmieni temat, jednak, o dziwo, odpowiedział.

– Ostatni raz leżałem na tej ławie, kiedy ojciec mnie uderzył. Miałem wtedy z pięć lat. Rozciął mi skórę na czole. Nic poważnego. Przyklepiając mi plaster, matka przez cały czas na niego wrzeszczała. Hm... Chociaż lał mnie regularnie, matka zabrała mnie stąd dopiero wtedy, kiedy się zorientowała, że ją zdradza.

– Można powiedzieć, że zdecydowała się wyjechać dzięki Ruby, albo raczej jej babce – zauważyła swobodnym tonem, skoncentrowana na

przemywaniu ranki. Mimo to przyszło jej do głowy, że w dzieciństwie bez wątpienia dokuczała mu samotność.

Ona nigdy nie jest sama. Co jest gorsze?

Jego dzieciństwo. Jej rodzice się nie sprawdzają, ale nikogo nie uderzyli, a klan dziewięciorga dzieciaków wzajemnie obdziela się miłością i wspiera.

Jeszcze raz odważyła się na niego spojrzeć. W gromadzie zdecydowanie lepiej, skonstatowała. Zatem sprowadzając mu do domu chmarę dzieci i psów, wyświadcza mu przysługę. Uśmiechnęła się.

– Co cię tak cieszy?

– Pomyślałam o parawanie ochronnym, jaki wokół ciebie ustawiłam. Pięcioro dzieci, ja, psy... Już nikt cię nie uderzy. – Mając przed oczami jego umięśniony brzuch, pomyślała, że i tak nikt by ręki na niego nie podniósł. Tego mu nie powie. Nie przyzna nawet sama przed sobą, że jest pełna podziwu dla jego ciała.

Ostrożnie przyklejała kolejne plasterki, a Blake leżał z wzrokiem wbitym w sufit, ale już całkiem się rozluźnił. Rozładowała atmosferę. Dzieci na coś się przydają.

– Założę opatrunek...

– Nie trzeba.

– Kiedy indziej będziesz mi mówił, co mam robić – fuknęła. – Będziesz miał opatrunek, czy to ci się podoba, czy nie.

– Ładnie to ujęłaś... – mruknął, a ona się roześmiała, zapinając mu spodnie.

Przytrzymał jej dłoń.

– Pozwól, że sam zrobię chociaż tyle. – Cofnął rękę dopiero po chwili.

Powinien usiąść, więc gwałtownie usunęła rękę. Trochę za szybko, bo

nagle usiadł i znaleźli się niebezpiecznie blisko. Był tuż, tuż. Taki... pociągający? Bo ujął ją pod brodę i...

– Nie – wykrztusiła. Jakimś cudem zdołała przywołać resztki zdrowego rozsądku i odsunąć. Niechcący przewróciła stojącą na podłodze miskę z wodą. – Widzisz, co przez ciebie zrobiłam?

– Gdybyś pozwoliła się pocałować, to tak by się nie stało.

– Nie chcę, żebyś mnie całował.

– Skąd Wiesz, że nie chcesz?

– Bo nie jestem sama. – Szttywnym krokiem ruszyła w stronę jednej z szafek po ścierkę, po czym na klęczkach zaczęła zbierać rozlaną wodę. – Jestem wołem roboczym, nie dekoracyjnym kucykiem. Chcesz mnie całować, bo nie ma tu innych kobiet. – Spojrzała na niego gniewnie. – Ale się mylisz. Masz pod ręką Ruby, która potrzebuje całusów. Skup się na tym, co ważne.

– Myślę, że ty jesteś ważna.

– Przemyśl to jeszcze raz! Znalazłeś się pułapce, bołą cię szwy i jesteś zmęczony, a ja mam odpowiednie chromosomy. Nic poza tym. – Wstała. Zabrała miskę, opakowanie po opatrunkach oraz ścierki. – To jest paradna część domu – dodała cicho – ja mieszkam w stróżówce. Mimo że moje rodzeństwo tu się wkręciło, ja... się boję. Blake, dajmy temu spokój. Muszę się zajmować powodzią, dbać o zdrowie tej części doliny i utrzymywać rodzinę. Nie chcę dodatkowych komplikacji. Żadnych. Masz już opatrunek, więc nakarm Ruby i idź do łóżka. Sam.

– Reagujesz zbyt ostro.

Skierowała się do drzwi.

– Stawiam granice i oczekuję, że inni będą je szanowali, a jak tego nie robią, to się dowiaduję, że przesadzam.

– Maggie...

– Muszę sprawdzić, czy nie jestem potrzebna w przychodni. Zostawiam moje dzieci pod opieką Liselle. Swoim zajmij się sam. Dobranoc.

Co się przed chwilą wydarzyło? Oszołomiony patrzył na zamknięte drzwi. Czuł, jakby dostał obuchem w łeb. Bardzo chciał ją pocałować, ale nie było to zwyczajne pożądanie. Miało jakiś związek z jej piegami, podkrążonymi oczami, ze wspomnieniem, jak stała nad rozlewiskiem, przywołując krowy. I jak delikatnie obmywała ranę. To pielęgniarza, która robi to na co dzień, ale odebrał to inaczej. Jak impuls... elektryczny. Ilekroć go dotknęła, dochodziło do jakiegoś sprzężenia, jakby dwie połowy rozpaczliwie chciały się połączyć w jedno.

Nieprawda. Jego połowa była chętna, lecz ta jej się wycofywała niczym spłoszone zwierzątko.

Boi się, że chce ją uwieść? Że wykorzysta ją miejscowy latyfundysta? Mści się na nim fatalna reputacja ojca.

Maggie go nie zna. Ani ty jej, mruknął. Pierwszy raz spotkał taką kobietę. Nie ma w niej za grosz sztuczności, jest taka, jak się ją widzi. Wzięła pod swoje skrzydła całą dolinę, rodzeństwo... oraz jego?

Tymczasem zniecierpliwiona czekaniem Ruby dała o sobie znać. Leżała cichutko, gdy pielęgniarza opatrywała wujka, ale ile można? Otworzyła buzię i się rozplakała.

Maggie nie będzie się nią opiekować. Dobra, pomyślał z żalem. Nie ma prawa tego od niej oczekiwać.

Jakby dla zaprzeczenia, stanęła w drzwiach.

– Miałeś być w łóżku – powiedziała, ale zabrzmiało to jak podyktowane wyrzutami sumienia. – Jeśli chcesz, mogę ją nakarmić, a potem zabiorę do siebie. Tylko na tę noc.

– Mówiłaś, że pojedziesz do przychodni. – Uznał, że nie chce być jej pacjentem. – Z Ruby sobie poradzę.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Zapukaj, jak zmienisz zdanie. – Chyba odetchnęła z ulgą. – Po powrocie do niej zajrzę. Śpij smacznie, Blake, śpij smacznie, Ruby. – Gdy zamknęła drzwi, poczuł.. że wolałby, by drzwi pozostały niezamknięte.

Nakarmił Ruby, a potem poszedł zobaczyć, co robią dzieci. Zastał je w swoim obszernym salonie.

Liselle siedziała przy biurku obstawiona książkami.

– Całki i różniczki? – zapytał, zaglądając jej przez ramię.

– Tak.

– Masz problem?

– Tak, tutaj. – Bezradnym gestem wskazała jedno z równań. Przysiadł obok i pomógł je rozwiązać, mimo że był przekonany, że już kompletnie nie pamięta, jak to się robi. Gdy się udało, ogarnęło go absurdalne uczucie satysfakcji.

Maggie ratuje świat, on przynajmniej może rozwiązywać zadania matematyczne.

Susie pod stołem bawiła się lalkami, Christopher leżał na kanapie z nogą na poduszkach. Środek przeciwbólowy sprawił, że chłopak już był senny, ale najwyraźniej chciał być z rodzeństwem. Oglądał jakiś pełen przemocy film w telewizji. Czy to odpowiednie dla dwunastolatka? Uprzytomnił sobie, że te dzieciaki już dawno nauczyły się niezależności.

– Może oglądać – odezwała się Liselle na widok jego pełnej powątpiewania miny. – Maggie raz w tygodniu przegląda z nim program. Chris czyta recenzje filmów, które chce obejrzeć, a potem negocjują.

Czemu nie, pomyślał z uznaniem.

Popatrzył na Ruby, którą trzymał na rękach, zastanawiając się, kto będzie negocjował w jej sprawie.

Co ten maluch z nim wyprawia?! Swoją małą siostrzyczkę widział trzydzieści lat temu i od tamtej pory o niej nie myślał, a mimo to dziecko tamtego dziecka porusza w nim uczucia, o które się nie podejrzewał.

Marzy mu się rodzina? Rozejrzał się po salonie. Senny Christopher z zabandażowaną nogą, który był bliski śmierci, ale teraz szybko zdrowieje, Susie gawędząca pod stołem z lalkami, Pete pogrążony w grze wideo i Liselle, która ucząc się, czuwa nad nimi. Maggie przed wyjściem rozpałała ogień w kominku, a może zrobiła to Liselle. Samodzielne dzieciaki, ale...

Jeśli jesteś zagrożeniem dla jednego z nich, zagrażasz wszystkim. Rodzina.

Ruby zasnęła. Powinien położyć ją do łóżka. Sam też powinien pójść spać. Nie mógł się połapać, co się z nim dzieje... Czy to osłabienie? W następstwie zapalenia wyrostka, stresu związanego z pojawieniem się Ruby i wysiłku włożonego w ratowanie jałówek.

Co czuje do Maggie? Hm... nic. To kwestia uczuć, które już dawno w sobie stłumił, bo tak należy. Jego życie jest ułożone, daje mu dużo zadowolenia, więc im prędzej do niego wróci, tym lepiej.

– Wygląda pan na zmęczonego – odezwała się Liselle. – Chce pan do powrotu Maggie zostawić ją ze mną?

Żeby zobaczyła, że nie poradził sobie z niemowlęciem?

– Dziękuję – odparł z godnością – ale nie jestem zmęczony.

– W razie czego niech nas pan zawoła. – Pete na chwilę oderwał się od gry. – Już nieraz zakopywałem pieluchy – wyjaśnił. – Łopata, dołek i po sprawie.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, Blake też się uśmiechnął, ale po chwili wymknął się z pokoju.

Superdzieciaki, pomyślał. To, że takie są, to nie zasługa rodziców. Są wspaniałe, bo mają wspaniałą starszą siostrę. Rewelacyjną. Śliczną i seksowną starszą siostrę.

Nie powinien zaprzętać sobie tym głowy, lecz myśleć praktycznie. Ruby. Łóżko. Nie Maggie.

Posprzątawszy gabinet po dwóch pacjentach, przeszła do sali, w której zorganizowano tymczasowe centrum ewakuacyjne, ale nie znalazła tam matki. Zwaliała się na głowę komuś z sąsiadów, pomyślała smętnie. Nie dla Barbie taka zbiorowa sala. Ale właściwie co ją to obchodzi?

Co zrobić, żeby się nie przejmować? Zastanawiała się nad tym w drodze do domu. Oraz... jak nie zaczynać kogoś lubić? Faceta, który ją całował.

– Nie przywiązuj do tego wagi – prychnęła, ale bezwiednie dotknęła warg, jakby znowu poczuła... – Nic nie czuję – mruknęła. – Nie mogę sobie pozwolić na takie doznania. Mało mam komplikacji w życiu? Niepotrzebny mi uwodziciel Samford.

Uwodziciel Samford... Mierzy go tą samą miarą co jego ojca. Czy to sprawiedliwe? Jasne, że nie. Do tej pory był rewelacyjny. Pomógł jej zająć się Chrisem, ratował krowy, oddalił matkę. I ją pocałował.

– Maggie, dorośnij! To był tylko pocałunek.

Ale nie było jaki. To coś... więcej.

Była jedenasta i w domu panowała głęboka cisza. Maggie padała z nóg. Sprawdziła, czy kominek jest wygaszony, zajrzała po kolei do wszystkich dzieci, upewniła się, czy Christopher śpi spokojnie.

Christopher i Liselle przytulili ją, kiedy się nad nimi pochylała. Robili tak od dziecka. Uwielbiała ten zwyczaj. Jak mogłaby od nich odejść?

Nie mogę, pomyślała, poprawiając kołdrę i całując ich na dobranoc. Kiedy Blake sprzeda farmę, wróci do nich. Wydarzenia minionego dnia pokazywały, jak ryzykowne jest pozostawianie dzieci pod okiem matki.

Niestety tej nocy nawet nie będzie miała własnego łóżka, bo Susie odmówiła zanocowania w nieznanym pokoju i uparła się, że będzie spała z Maggie.

Nie ma sprawy, stwierdziła Maggie. Jest taka zmęczona... ale musi jeszcze zajrzeć do Blake'a. Na wszelki wypadek. Po południu dał z siebie wszystko. Czy wezwałby ją, gdyby dostał krwotoku albo zwiął się z bólu?

Chyba nie, więc jako pielęgniarka nie może się położyć, dopóki się nie upewni, że nic złego się nie dzieje.

Przemknęła przez pograżony w ciemnościach dom. Drzwi do jego sypialni były lekko uchylone. By nie obudzić jego ani Ruby, na palcach wsunęła się do środka.

W świetle księżyca prześwitującego przez chmury ujrzała mężczyznę śpiącego na łóżku oraz tuż obok, na wyciągnięcie ręki, niemowlę w prowizorycznym łóżeczku.

Oboje spali twardym snem. Blake, obnażony do pasa, spał na samym brzegu z ręką zwieszoną tak, że prawie dotykał policzka Ruby, jakby zasnął, gładząc ją po buzi. Żeby dać jej poczucie bliskości. Żeby pokazać, że jest dla niego ważna? Serce się jej ścisnęło. Ten facet...

Przestań. Wycisz te hormony!

Gdy się poruszył, rzuciła się do drzwi tak szybko, że o mało się nie potknęła. Nic mu nie jest. Nie musi, tu przychodzić po raz drugi. Nie powinna się do niego zbliżać, gdy jest w sypialni albo kiedy się uśmiecha, karmi Ruby, robi cokolwiek innego, co wszystko razem przypomina jej... że powinna przestać czuć cokolwiek.

Kiedy woda opadnie, Blake wyjedzie do szpitala w wielkim mieście, do swojej ukochanej niezależności, a jej pozostanie tylko...

No właśnie, tylko.

Musi wziąć się w garść, bo inaczej lada chwila włoży do odtwarzacza jakąś płytę z rzewnymi kawałkami na skrzypce i się rozplacze.

Gdy zadzwonił telefon, niemal się ucieszyła. Praca. Tym trzeba się zająć, by nie oszaleć, zamiast wpatrywać się w półnagich facetów leżących w blasku księżyca.

Ale nie był to telefon do niej.

Jedną z wad mieszkania z Blakiem w tym samym domu był wspólny telefon, tak zwany telefon towarzyski założony jeszcze za życia starego Samforda. Maggie miała komórkę i miejscowi o tym dobrze wiedzieli, ale korzystali z jej numeru niechętnie, bo był dłuższy, a poza tym połączenie z komórką kosztowało więcej.

Gdy mieszkała u matki, mimo jej próśb też korzystali z numeru stacjonarnego i tak zostało, nawet kiedy przeprowadziła się do Samforda, więc na głos sygnału rzuciła się do holu, by nie obudził całego domu.

– Maggie Tilden, słucham – powiedziała.

– To znaczy kto? – dopytywał się kobiecy głos.

Nie rozpoznała go. Lodowaty ton, arogancki i zaskoczony. Jakby kobieta spodziewała się usłyszeć kogoś innego. Maggie domyśliła się, że to znajoma Blake'a.

– Pielęgniarka środowiskowa. Maggie Tilden.

– Kobieta, która mieszka w stróżówce domu Blake'a?

Czy można kogoś zniechęcić już po dwóch pierwszych zdaniach? Niemożliwe, więc się uśmiechnęła. Podobno słyhać to przez telefon.

– Zgadza się – odparła pogodnie. – Chce pani rozmawiać z Blakiem?

– Tak.

– Przykro mi, ale śpi.

– Dopiero jedenasta.

– Owszem, ale ma za sobą ciężki dzień. Musiał ratować krowy, bo inaczej by się potopiły, a poza tym musi w nocy karmić Ruby. – Zawiesiła głos. – Wolałabym go nie budzić.

– Nie odbiera komórki.

– Bo mu wpadła do wody i nie działa.

Głucha cisza.

– Wchodził do wody?

– Tak.

– Żeby ratować krowy?!

– Tak.

– Ty nie chcesz zająć się dzieckiem, a oczekujesz od niego, że będzie ratował krowy?!

– To jego stado. I jego dziecko.

– To nie jest jego dziecko.

– Czuje się za nie odpowiedzialny.

– On nie ma prawa...

– To dziecko jego siostry – rzekła łagodnym tonem Maggie. – Ma do tego większe prawo niż kto inny.

– Jesteś położną, a on powiedział, że nie chcesz...

– Zdobyć się na profesjonalizm? Postępuję bardzo profesjonalnie: nie zabieram do siebie pacjentów. – Zerknęła za siebie i aż się skrzywiła na widok bałaganu, jaki dzieci zostawiły w pięknym, lekko wypłowiałym salonie Blake'a.

– Blake potrzebuje opieki. Jest chory. Jako pielęgniarzka musisz się nim

zająć.

– Robię, co mogę. – Maggie miała spore doświadczenie z bojowo nastawionymi pacjentami i ich bliskimi. Celowo mówiła rzeczowym i zarazem stanowczym tonem. – Nie widzę żadnego powodu do niepokoju. Mimo to nie chciałabym go teraz budzić. Jak poda mi pani swoje nazwisko, przekażę mu, że pani dzwoniła.

– Miriam Donnington – syknęła kobieta. – Doktor Donnington. Narzeczona Blake'a.

Skąd ten nagły skurcz żołądka? Bez powodu. Albo za sprawą licznych powodów. Głupio jej, prawda? Dała się wywieść w pole rozszalałym hormonom.

Blake żyje w innym świecie, jest lekarzem w wielkim mieście i ma narzeczoną. W Corella Valley utknął tymczasowo, a tamten pocałunek był podyktowany wyłącznie adrenaliną, groźną sytuacją i osiągniętym sukcesem, niczym więcej. Już wtedy to wiedziała. Teraz jedynie otrzymała potwierdzenie.

To dlaczego się nie odzywa, jakby doznała szoku? Weź się w garść! Na to hasło ocknęła się rozsądna Maggie.

– Nie wiedziałam, że jest zaręczony – zauważyła z przyklepionym do warg uśmiechem. – Wszystkiego najlepszego. Rozumiem pani niepokój. Przekażę, że pani dzwoniła. Obawiam się, że jego komórka nie działa, mimo że zapewne już wyszła, ale zawsze można się z nim skontaktować, dzwoniąc pod ten numer. Chyba że będzie spał. Pilnuję, żeby jak najwięcej przebywał w łóżku. – Aby zabrzmiało to jeszcze bardziej profesjonalnie, dodała: – Nie jest łatwym pacjentem...

– Sam wie najlepiej, co mu służy – prychnęła Miriam. – Pielęgniarka nie będzie mu mówiła, co ma robić. On potrzebuje spokoju, a nie komplikacji

w osobie pielęgniarki i niemowlęcia.

– I czworga moich dzieciaków – pofolgowwała sobie Maggie. Dlaczego nie? Żeby trochę podnieść temperaturę wymiany zdań.

– Czworga dzieciaków?

– Blake nie ma nic przeciwko temu. Są tu wszystkie moje dzieci. Wiem od Pete'a, że Blake nawet grał z nim w grę komputerową. Ma pani więcej pytań?

– N... nie. – Miriam najwyraźniej była w szoku.

– W takim razie życzę dobrej nocy – zaćwierkała Maggie, po czym odłożyła słuchawkę, odwróciła się i ujrzała Blake'a.

Stał, opierając się o ścianę z ramionami splecionymi na piersi, półnagi, bosy, potargany i... patrzył.

To wystarczyło, żeby jej profesjonalizm natychmiast prysł. Pielęgniarka, położna... kobieta? W jego obecności stawała się kobietą, więc jej ciało reagowało odpowiednio. Narzeczona, narzeczona...

Nie trać głowy i o tym nie myśl.

– Miriam? – zapytał, a ona przytaknęła.

– Twoja narzeczona.

– Tak ci powiedziała?

– Chciała, żebym cię obudziła, ale odmówiłam. Przepraszam. Ale możesz do niej oddzwonić.

– Tak zrobię. – Przyglądał się jej badawczo. – Dała ci popalić?

– Za to, że się tobą nie opiekuję. Może i słusznie, bo gdyby teraz z powodu krwotoku wewnętrznego trzeba było cię ewakuować, to byłaby to moja wina.

– Jak powiedziałaś, to są moje krowy. Oraz mój wybór. Tak, Maggie, Ruby jest moją siostrzenicą.

– Miriam się nią zaopiekuje? – To nie twoja sprawa, pomyślała. Nie należało o to pytać, ale stało się.

– Ktoś musi. Chyba że posłucham rady Peta'a i zacznę zakopywać pieluchy.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

– Gdyby to od niego zależało, zakopywałby też brudne naczynia. Zadzwoń do niej, bo chyba się niepokoi.

– Zadzwonię, ale Maggie...

– Uhm?

– Przepraszam, że popsuła ci humor.

– Nic mi nie popsuła. – Kłamstwo. – Zdążyłam się oswoić z reakcjami zaniepokojonych bliskich pacjentów.

– Nie jestem pacjentem – szepnął tak cicho, że Maggie przeszył dreszcz.

– Gdybyś nim był, byłoby o wiele łatwiej.

Nim zebrał się na odpowiedź, wyszła, zamykając za sobą drzwi. Powinienem zadzwonić do Miriam, pomyślał ze wzrokiem utkwionym w drzwiach.

Za nimi jest Maggie. W łóżku z dziesięcioletnią siostrą, a pod łóżkiem śpią dwa psy mojego ojca.

Miriam siedzi przy biurku w chłodnym, szaro – białym apartamencie z widokiem na port.

Narzeczona? Wcale nie. Dlaczego tak powiedziała? By go chronić? Żeby Maggie nie wykorzystała okazji?

A wykorzystuje? Nie. Po pierwsze, Ruby byłaby tu niezależnie od Maggie. Po drugie, sam zaprosił jej rodzeństwo. Rozmawiał też z lekarzami, którzy doglądali ojca. Bez pomocy Maggie wylądowałby w szpitalu o

wiele wcześniej. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Bob jest trudnym człowiekiem, ale mimo to Maggie zagwarantowała mu godne warunki w ostatnich miesiącach życia.

Ta dziewczyna nie poluje na okazje. Narzeczona...

Miriam podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

– Blake, wiedziałam, że nie śpisz, ale ta kobieta nie chciała cię zawołać.

„Ta kobieta”. Nieładnie to zabrzmiało.

– Robi świetną robotę. Opiekuje się całą doliną.

– Ale nie tobą. Czyś ty na głowę upadł, żeby taplać się w wodzie?!

– Gdybym się nie taplał, utopiłoby się osiemdziesiąt cieląt.

– Blake, opanuj się, co jest ważniejsze? Twój talent, wykształcenie...

– Nie zapominaj o mnie. Brakowałyby mi siebie nawet bez lekarskich dyplomów.

– Przestań...

Zamyślił się. Narzeczona? Zostali parą, bo tak po prostu wyszło. Rywalizowali na uniwersytecie, uczyli się razem, nawzajem mobilizowali. Oboje byli bardzo ambitni.

Zaczął się zastanawiać, czy byłby z Miriam, gdyby nie medycyna. Chciałaby go? Czy on by jej chciał? Trudno pozbierać myśli o północy, stojąc boso na zimnej podłodze, kiedy nieopodal zaczyna kwilić Ruby.

– Jak woda opadnie – starannie dobierał słowa – chciałbym, żebyś tu przyjechała, zanim wrócę do Sydney. Chciałbym, żebyś poznała Ruby i pomogła mi podjąć decyzję w jej sprawie.

– Jaką decyzję?

– Mim, to moja rodzina.

– Nie nazywaj mnie Mim! – krzyknęła niemal histerycznie. – Nie wezmę niczyjego dzieciaka. Nawet jeszcze nie wiem, czy chcę mieć własne.

– Nawet swoje?

– Tak.

– Dowiedziałem się, że jesteście zaręczeni.

W słuchawce zapanowała długa cisza.

– Powiedziałam tak, żeby ci pomóc, pomyślałam, że może ci się to przydać. Mieszkacie pod jednym dachem...

– Razem z nami jest pięcioro dzieciaków – tłumaczył cierpliwie. – Przyzwoitek tu nie brakuje. Uważasz, że powinienem mieć przyzwoitkę?

– Nie obchodzi mnie, co robisz – rzuciła rozdrażnionym tonem.

Znowu cisza.

– Naprawdę? – zapytał w końcu i spojrzawszy na drzwi, za którymi spała Maggie z siostrą, a pod ich łóżkiem leżały dwa psy, stwierdził, że Maggie obchodzi każdy.

– Idiotyczna rozmowa. – Miriam nieco ochłonęła. – Blake, nasz układ jest sensowny. Chcesz to popsuć?

– Popsułbym, gdybym okazał się niewierny?

– Gdybym się o tym dowiedziała, to tak.

– A gdybyś się nie dowiedziała?

– Słuchaj, nic mnie to nie obchodzi – zachnęła się. – Padam z nóg, a jutro czeka mnie pracowity dzień, więc jak masz ochotę na burzliwy romansik z tą lokatorką pielęgniarzką... ile ona ma dzieci?... to nie mogę ci zabronić. Ale na pewno tam nie przyjadę.

– Aha. – Odwracając się, przez otwarte drzwi do sypialni dostrzegł, że Ruby się wierci. Lada moment się rozedrze.

Jego myśli zawróciły do Maggie, Christophera i negocjacji w kwestii oglądania telewizji. Przyszło mu też do głowy, że gdyby miał romans z Maggie, wytyczyłaby mu granice, nie powiedziałaby: rób, co chcesz, ale mi

tego nie mów.

– Po powrocie do Sydney będę się przeprowadzał. – Na drugim końcu linii usłyszał wściekłe sapnięcie.

– Więc to prawda. Ta durna pielęgniarzka...

– To nie ma żadnego związku z Maggie – może jednak ma? – ale z posiadaniem rodziny. Mim, ty i ja jesteśmy... przyjaciółmi. Łączy nas praca. Nie stanowimy rodziny i już na to za późno. Nasz układ wygasa i musimy z tym się pogodzić. Przepraszam, Miriam, między nami skończone.

– Chcesz mieć... rodzinę? Tam?! – Trudno nie było wyczuć w tym strasznego jadu.

– Nie wiem, gdzie i co chcę mieć – wyznał – ale wiem, że nasz układ był pomyłką. Dziękuję, że chciałaś mi pomóc, ale nie potrzebuję narzeczonej. Sam nie wiem, co mam robić. Nie, wiem: mam nakarmić niemowlę, a potem iść spać. W tej chwili nic więcej nie wymyślę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rzeka uporczywie odmawiała powrotu do dawnego koryta, a deszcz lał bez przerwy. Mieszkańcom doliny nie pozostawało nic innego jak skulić się i czekać.

Gdyby dawniej ktoś powiedział Blake'owi, że wytrzyma uwięziony przez tydzień w wiejskiej posiadłości z piątką małych i będzie z tego... niemal zadowolony, kazałby mu zgłosić się do psychiatry.

Maggie miała w przychodni urwanie głowy. Powódź zaskoczyła wszystkich mieszkańców. Tłumnie zgłaszali się do niej farmerzy, którzy ratując bydło, doznali przeróżnych zadrapań i skręceń i zakażeń. Szczególnie licznie występowały bóle kręgosłupa, ponieważ ludzie w panice wnosili ciężkie sprzęty na wyższe piętra.

Blake w miarę możliwości jej pomagał. Największą przyjemność sprawiały mu wyjazdy do odległych farm, gdzie miał okazję oczyszczać owrzodzenia, potwierdzać diagnozy Maggie albo decyzje, że ewakuacja do szpitala na drugim brzegu nie jest konieczna.

Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że sprawia mu to przyjemność. Nigdy nie brał pod uwagę medycyny wiejskiej, ale w tym wariacie nawet mu się spodobała.

Maggie jednak była niezadowolona.

– Na czym polega magia tego „dr” przed nazwiskiem? – denerwowała się. Przez godzinę tłumaczyła pani Goodall, że jej noga zaczyna się goić i że antybiotyk działa, ale ta dalej była w histerii. Wszedł Blake, obejrzał nogę, po czym się uśmiechnął.

– Droga pani, pięknie się goi. Widzi pani na brzegach tę cieniutką

blonkę? Stopniowo zakryje całą ranę. Proszę trzymać nogę wyżej, nie moczyć jej, dużo oglądać telewizji, pieścić koty... – Było ich przy niej mnóstwo. – Zapewniam panią, że zanim woda opadnie, będzie pani jak nowa.

Można powiedzieć, że gdy wychodzili, uszczęśliwiona pani Goodall mruzczała może nawet głośniejsze niż jej koty. W samochodzie Maggie spojrzała na Blake'a spode łba.

– Mogę strzepić język do usmarkanej śmierci... – warknęła – a ty wchodzisz tym swoim doktorskim krokiem, nic absolutnie nie robisz i nagle pani Goodall przestaje domagać się śmigłowca.

– To tajemnica podejścia do pacjenta – wyjaśnił z chytrą miną. – Uczą tego na studiach medycznych. I od pokoleń ukrywają przed pielęgniarzkami.

– Rozumiem, trzeba być przystojnym facetem i się uśmiechać.

– Otóż to. – Był tak z siebie zadowolony, że nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Okej, to się przydaje – przyznała. – Szkoda, że nie mogę cię zamknąć w jakiejś flaszeczce i trzymać w podanej torbie.

– Nie dam się.

– Wiem. – Westchnęła. – Nawet nie powinieneś być tutaj. – Przywiozła go z rozpaczy, bo pani Goodall była niemal w hysterii. Mimo to nie zapomniała, że i on jest pacjentem.

W foteliku za ich plecami leżała Ruby. Zabierali ją z sobą do łóżek poszkodowanych, by Liselle mogła się pouczyć, poza tym podobało się to pacjentom. Maggie była pewna, że za tydzień Ruby dostanie od pani Goodall bućki zrobione na drutach. Blake też powinien spokojnie zdrowieć, a nie jeździć razem z nią na wizyty.

On jednak to lubi, uznała, i bardzo się przydaje. Miejscowi go akceptują i traktują jak swojego chłopaka, który wyszedł na ludzi. Ale też jest pewną

ciekawostką, a zainteresowanie wiąże się z domysłami. Spoglądają na Blake'a, spoglądają na Maggie, wreszcie na Ruby... Doskonale wiedziała, co im chodzi po głowie. Pomyślała... że nie powinna o tym myśleć. Wystarczy, że obok niej siedzi Blake.

Zagniewana ściągnęła brwi. W tej samej chwili zapaliła się pomarańczowa kontrolka. Super, nareszcie jakaś odmiana. Chyba nie super. Kontrolka się zaświeciła... czyli problem?

Powinna przemieszczać się niezawodnym samochodem służbowym, ale most zamknięto wcześniej, niż się spodziewano. Auto zostało na drugim brzegu, więc teraz zmuszona była jeździć własnym, nie tak niezawodnym. W nagłych sytuacjach się przydawał, ale pacjenci nie byli zachwyceni, gdy zajeżdżała do nich takim gruchotem. Kontrolka...

– Co się stało? – zapytał, gdy zjechała na pobocze.

– Siostra, farmerka, pielęgniarz, mechanik – wyrecytowała. – Trzy moje wcielenia już znasz, teraz poznaj czwarte.

Wysiadła i uniosła maskę, a on podszedł bliżej. Nie znał się na samochodach. Umiał prowadzić, a warsztat miał nieopodal szpitala. Kilka razy zdarzyło mu się zmienić koło.

To, co kryło się pod maską, wyglądało na równie sfatygowane jak karoseria, ale bardziej interesująco. Maggie z westchnieniem otworzyła bagażnik.

– Rajstopy – wyjaśniła.

– Po co ci rajstopy?

– To najlepszy przyjaciel dziewczyny. Bez nich nie wolno się ruszać. – Wyciągnęła parę czarnych rajstóp, które bez wątplenia widziały lepsze czasy.

– Możesz poszukać w mojej torbie nożyczek i obciąć im nogawki?

– Pasek klinowy? – zapytał inteligentnie. Stoją na kompletnym

odludziu. Gdzie jest najbliższa laweta?

Ale Maggie nie myślała o lawetach.

– Jakbyś zgadł. – Pochylała się nad silnikiem, szarpiąc mocno nadwerężonym paskiem. – Poszłam na kurs, żeby wiedzieć, co robić w takich razach. Nie ma problemu. W domu mam zapasowy, a na tym dojedzie – my. Muszę tylko się postarać, żeby węzeł był płaski. Kilka razy oplotę rajstopami koła pasowe silnika i pompy, i mocno je naciągnę.

– Aha – bąknął, a ona się uśmiechnęła.

– Mechanik samochodowy nie figuruje wśród twoich obowiązków służbowych?

– Nie figuruje.

– Udało ci się. – Gdy się wyprostowała, zauważył, że ma na nosie plamkę smaru. Wyglądała, wyglądała...

– Wracaj do auta. Miriam by mnie zabiła, gdyby się dowiedziała, że ciągam cię z sobą na wizyty. Nie jesteś mi potrzebny do trzymania klucza.

– Nie jestem zaręczony z Miriam – odparł, a ona na chwilę znieruchomiała i... pochyliła się nad silnikiem.

– Nie?

– Pracujemy razem.

– Powiedziała...

– Jesteśmy partnerami. Studiowaliśmy razem, a kiedy dostaliśmy pracę w tym samym szpitalu, uznaliśmy, że razem będzie nas stać na większe mieszkanie. – Zawahał się. – Może nie do końca oddaje to charakter tego układu – zaznaczył zgodnie z prawdą. – Przekroczyliśmy granice przyjaźni, ale wczoraj dotarło do mnie, że donikąd to nie prowadzi.

– Bo mieszkam z tobą w tym samym domu? – zapytała, nie podnosząc głowy. – Bo się ze mną całowałeś? Jeżeli uważasz, że to przeze mnie...

– Tego nie powiedziałem.

– Mam do niej zadzwonić i wyjaśnić, że oddziela nas piątką dzieciaków i dębowe drzwi?

– Już to wie.

– Beznadziejnie.

– Jak to?

– No, beznadziejnie. – Walnęła w coś kluczem. – Straciłeś potencjalną narzeczoną. Dlaczego nie cierpisz?

– Bo jej nie kocham. Nigdy nawet nie udawaliśmy, że się kochamy. Bo chociaż znam cię niecałe dwa tygodnie, chociaż wydaje mi się to nieprawdopodobne, ten nasz pocałunek mnie... zelektryzował, a czegoś takiego z Miriam nie doświadczyłem. Byłoby nie fair ciągnąć to dalej.

Zapadła martwa cisza. Trwała przeraźliwie długo, aż przerwało ją ponowne stuknięcie w silnik. Maggie wróciła do pracy. Blake pomyślał...

Po co to powiedział? Po co wszystko jej wyznał? Bo zauroczyła go jej wypięta pupa? Bo chciałby zetrzeć z jej noska plamkę smaru, a potem ją pocałować? Bo to wszystko, czym jest Maggie – kobietą, siostrą, farmerką, pielęgniarzką i mechanikiem – robi z nim coś, czego on nie potrafi sobie wytłumaczyć ani się temu oprzeć?

Pierwszy raz spotkał tak pociągającą kobietę.

Dał jej do zrozumienia, że to, co jest między nimi, jest niepowtarzalne. Jeden pocałunek? Wszystko źle. Przyznał się, że zawrócił mu w głowie jeden pocałunek, podczas gdy kobieta, którą miał na myśli, była zajęta czymś, czym normalnie zajmują się faceci, ale o czym on nie ma pojęcia. Przestraszył ją?

Tak, zdecydowanie. Widział to w mowie jej ciała. I w skupieniu, w jakim pochylała się nad robotą.

Postąpił jak ostatni kretyn. Dlaczego? Mnóstwo powodów przyszło mu

do głowy: wyrostek, powódź, Ruby, sama Maggie. Pocałunek.

Maggie z hukiem zatrzasnęła maskę, wytarła ręce w to, co zostało z rajstop, i zasiadłszy za kierownicą, czekała, aż Blake wsiądzie. Włączyła silnik, z zadowoleniem stwierdziła, że kontrolka zgasła, wyjechała na drogę i w końcu się odezwała:

– Mam nadzieję, że to, co niedawno powiedziałeś, to chwilowa aberracja.

– Ale ten pocałunek był... powiedzmy, powalający. – Och, powinien ważyć słowa.

– Powiedzmy?

– Okej, zdecydowanie. Ale teraz, z tym smarem na nosie, wyglądasz bardzo atrakcyjnie. Podobają mi się dziewczyny z kluczem nastawnym.

Uśmiechnęła się dość niepewnie.

– Dobrze, że go nie mam pod ręką. Blake... Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego i na miły Bóg, nie zrywaj przeze mnie z Miriam. Mam więcej obciążeń niż tylko ciężki klucz i nie szukam partnera. Jeden pocałunek to jeszcze nie romans.

Co powiedzieć, by zabrzmiało to dyplomatycznie? Nie znajdując słów, zdecydował się na szczerłość.

– Coś takiego jak ten jeden pocałunek przytrafiło mi się po raz pierwszy w życiu. – Takie sformułowanie go zadowoliło.

– Owszem, był wyjątkowy, ale nie wyobrażaj sobie, że coś z tego będzie, bo wybieram się do Afryki.

– Do Afryki?

– I być może na Syberię, ale też nie wykluczam Sardynii, Stambułu i Paryża. Sama. Mam konto bankowe...

– Zawahała się, odetchnęła głębiej, po czym ciągnęła: – Jak byłam

mała, zbierałam puszki po napojach. Po meczach piłkarskich, od koleżanek z bogatszych rodzin, wszędzie, gdzie się dało. Zgniatałem je i odnosiłam do punktu skupu. Niewiele na tym zarabiałam, ale to były moje własne pieniądze. Jak w domu robiło się krucho, wymykałam się na poszukiwanie puszek. Nawet dzisiaj myślę o puszkach.

Zastanawiał się, dlaczego mu o tym opowiada. Dlaczego kieruje niewątpliwie żartobliwą wymianę zdań na poważne tory, na rozmowę o oszczędzaniu? Obserwując ją, zorientował się, że dla niej to bardzo ważne.

– Rodzicom zawsze brakowało pieniędzy. Gdyby wiedzieli, że mam choćby najskromniejsze oszczędności, błyskawicznie by je wydali, więc trzymałam to w tajemnicy. Do tej pory o tym nie wiedzą. Jako nastolatka pilnowałam dzieci, jak Liselle. Część tych pieniędzy szła na tajne konto. Odkąd mam zawód i w nim pracuję, zawsze dokładam tam kilka groszy, bo dziewięćdziesiąt procent moich zarobków idzie na pomoc rodzeństwu, ale ten jeden procent należy tylko do mnie. Na razie uzbierałam na lot do Afryki... w jedną stronę.

– Ale wrócisz?

Uśmiechnęła się, wzruszywszy ramionami.

– Oczywiście. Podejrzewam, że rodzina zawsze będzie mnie potrzebować... naszej kochanej Maggie. Ale tam polecę. – Zabrzmiało to jak deklaracja, niemal ślubowanie. – Jak tylko Susie wyjdzie z domu.

– Susie ma dziesięć lat – zauważył. – To jeszcze siedem.

– Do tego czasu uzbieram na powrót – odrzekła rezolutnym tonem. – A nawet więcej. Im mniej będę im potrzebna, tym więcej zaoszczędzę. Zamierzam podróżować przez pół roku. Sama... Pamiętasz, jak o tym mówiłam? Wypiję szampana w paryskiej kafejce na lewym brzegu Sekwany i nikomu nie będę się z tego tłumaczyć. Będę się wygrzewać na greckiej plaży.

Zobaczę nosorożce w ich naturalnym środowisku. Mam nadzieję, że pewnego dnia mi się to uda. – Zerknęła na niego, przygryzła wargę, po czym odwróciła wzrok na drogę. – Więc nie wściecie się, ty i Ruby, przeszkadzać mi w realizacji tego marzenia.

– Nie odważę się.

– Całe szczęście. Ważne, żebyśmy się zrozumieli.

Przez resztę drogi wyrzucał sobie, że jak ostatni kretyn ją przestraszył, robiąc sprawę z jednego pocałunku, że ją zmusił do zwierzania się z najskrytszych marzeń.

Zna ją niecałe dwa tygodnie, raz ją pocałował, i na tej podstawie sugeruje, że mogliby być razem i informuje, że z tego powodu zerwał z Miriam. Bez sensu.

Jest ambitnym lekarzem, skoncentrowanym na pracy i awansie. Ona mieszka wśród rodzeństwa i krów, w miejscu, gdzie nawet nie podają przyzwoitej kawy.

Takiej pary nie da się pogodzić.

To napad klaustrofobii, tłumaczył sobie. Od ponad tygodnia spędza czas wyłącznie z Maggie, a w takiej sytuacji każdy osobnik z chromosomem X zaczyna się podobać. Nawet z nosem umazanym smarem.

Nie, to coś więcej. Być może Maggie uosabia coś, o czym nigdy nie pomyślał... albo tłumił. Potrzebę rodziny?

Mieszkał w Corella Valley do szóstego roku życia, potem matka przenosiła się z miejsca na miejsce, od jednego faceta do następnego. Najwyraźniej ta dolina mocno wpłynęła na jego emocje.

Jest jeszcze Ruby. Co z nią zrobić? Powinna być w rodzinie i teraz ją ma. Ma jego oraz Maggie i czwórkę jej rodzeństwa, które traktuje ją jak swoją. Zaczęła się uśmiechać, więc wszyscy starają się na to zapracować.

– O, znowu się uśmiechnęła – zameldował uradowany Chris. – Wyprzedzam was o dwa uśmiechy.

A on się uśmiecha, gdy Maggie bierze małą na ręce w sytuacjach, kiedy on nie potrafi jej ukoić. Jednak to za mało, by nazwać to miłością, by myśleć o dalszym wspólnym życiu.

Nostalgia, pragnienie, izolacja.

Dziewczyna ze smarem na nosie spojrzała na niego niczym spłoszony kangur. Poczuli się zmuszona wyjawic swój plan na przyszłość, dając mu do zrozumienia, że dla niego nie ma tam miejsca.

Niby wszystko w porządku, ale dlaczego czuje się, jakby popełnił poważny błąd? Coś mu mówiło, że Mag – gie jest ważna z powodów nie tylko praktycznych i podyktowanych nostalgią. Maggie jest wyjątkowa i być może ich drogi się rozejdą.

Maggie, miłość i radość.

Zna ją krótko i już zdążył ją przestraszyć.

– Chyba dopadła mnie klaustrofobia – rzucił, a ona spojrzała na niego z... wdzięcznością? Będzie miała święty spokój. I wszystko będzie jak dawniej?

– Chyba tak. – Odetchnęła z wyraźną ulgą. – Powinieneś zadzwonić do Miriam i wyjaśnić, że to odizolowanie od świata rzuciło ci się na mózg.

– Czy można mówić o izolacji w domu, gdzie jest pięcioro dzieci, dwa psy i nie wiadomo ile krów?

– To przybiera różne formy. – W jej głosie zabrzmiała smętna nuta. – Od dziecka żyję otoczona ludźmi, więc tęsknię za samotnością, ale w pewnym sensie ją mam. – Westchnęła. – Przepraszam, mnie też się udzielił ten lęk przed zamknięciem. Postarajmy się unikać pocałunków, bo możemy to zrobić z frustracji. Ale podobno poziom wody opada, a pogoda ma się

poprawić. Za tydzień powinni zorganizować przeprawę promową, więc dzieciaki wrócą do szkoły, ty do Sydney, a życie do normy.

– Tego sobie życzysz?

– Oczywiście. Nie zapominaj o moim siedmioletnim planie. Na jego realizację pracuję od dziesiątego roku życia i nie zamierzam zbaczać z drogi.

Jednak zbacza. Ale tylko w myślach, pomyślała rozdrażniona. Tylko wtedy, gdy pragmatyczna Maggie pozwala im błądzić różnymi nonsensownymi i niepraktycznymi ścieżkami, które nieodmiennie prowadzą do Blake'a. Powinna go unikać, a nie może.

Po powrocie do domu należało zmienić Ruby opatrunki gipsowe, zrobić ćwiczenia redresyjne i nałożyć na nóżki nowy opatrunek. Przyglądała się i pomagała Blake'owi, gdy ten skupiał się na ćwiczeniach. Robił to wręcz czule, z niebywałą delikatnością.

Maggie nareszcie miała okazję skoncentrować uwagę na małej, a nie na nim.

– Przygotujesz kąpiel? – zapytał, a ona przytaknęła.

Z konieczności była to kąpiel nietypowa. W kuchennym zlewie: dużym, porcelanowym, idealnym do tego celu. Wyszorowała go, napełniła ciepłą wodą i wyłożyła miękkim ręcznikiem, by Ruby nie leżała na twardym.

Spodziewała się, że Blake poda jej małą, ale nic takiego się nie stało. Sam zanurzył ją w wodzie, wpatrzony w nią, gdy szeroko otworzyła oczy zdziwiona nowym doznaniem.

Wykąpali ją tej nocy, kiedy ją podrzucono, przed nałożeniem pierwszego gipsu, ale wtedy była kompletnie innym dzieckiem. Niedożywionym, odwodnionym, niechcianym. Teraz mieli przed oczami Ruby od tygodnia regularnie karmioną i przytulaną...

Blake trzymał małą jak skarb, a na jego twarzy malowały się emocje

kompletnie dla Maggie niezrozumiałe.

On się w niej zakochuje! Ten zdystansowany doktor z Sydney, obcy człowiek. Niezwiązany ani z doliną, ani z nią. Sprzeda farmę i tyle go będą widzieli.

Ale dzisiaj powiedział...

Zapomnij o tym, skup się na Ruby, nie na nim. Łatwiej powiedzieć, niż to zrobić, bo ze wzruszenia nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy. Tak nie spogląda lekarz na pacjenta ani człowiek, który jeszcze niedawno zamierzał oddać Ruby do rodziny zastępczej. Zagadkowy facet. I chociaż sobie przysięgła, że zachowa dystans, poczuła, że chce o nim dowiedzieć się więcej.

– Opowiedz mi o siostrze. – Ruby odkryła, że może machać rączkami i oswobodzonymi z gipsu nóżkami.

– Nie znam jej.

– Chyba znasz, sądząc po tym, jak patrzysz na Ruby.

Ku swojemu zaskoczeniu opowiedział o spotkaniu sprzed trzydziestu lat. Trzymał Ruby na rękach i wspominał noworodka, którego widział jeden jedyny raz, dziecko, które rozbiło małżeństwo jego rodziców, oraz przestraszonego chłopczyka, który czuł, że to jego siostrzyczka i że ona na pewno też się boi.

Mówił o nieznanym kobiecie, która zabrała dziecko, o rodzicach, którzy już nigdy o nim nie wspomnieli i o rodzinie, która się rozpadła.

– Psychoterapeuta miałby niezłe używanie – zauważył pół żartem, pół serio.

A ona pomyślała, że mogłaby go dotknąć, gdyby nie to, że trzymał dziecko. Pogłaskałaby po policzku, by wygładzić rysy ściągnięte smutkiem i ironią. Obraz osobnika mrocznego i niebezpiecznego zaczynał się rozmywać.

Są gorsze rzeczy na świecie niż ośmioro rodzeństwa, pomyślała. On przez całe życie czuje się osamotniony.

Ale teraz odnalazł Ruby. Skup się na niej! Taki miała plan. Musi mieć plan, by nie czuć tego, co do niego czuje. To wir, mroczny, słodki, kuszący, ale nie wiadomo, co kryje się wewnątrz.

– Nie będziesz robił nowych ćwiczeń? – Spojrzawszy na nią, otrząsnął się, by stać się chirurgiem ortopedą.

– Oczywiście, że zrobię. Uznałem, że łatwiej będzie, jak pierwszą część zrobimy w wodzie.

Przytrzymując Ruby, by mu ułatwić ustawienie nóg i założenie gipsowego opatrunku, obserwowała jego twarz oraz delikatne palce. Dotarło wówczas do niej, że ona też ma bardzo poważny problem.

Zerwał z Miriam z powodu jednego pocałunku. Oszalał. Zdaje się, że to zaraźliwa przypadłość.

Ruby, mimo że nakarmiona i przewinięta, dawała wyraz swojemu niezadowoleniu z powodu opatrunku. Wcześniej tak przyjemnie było swobodnie wymachiwać rączkami i nóżkami, a teraz znowu coś jej krępuje ruchy.

Przed tobą jeszcze długa droga, pomyślał Blake. Sześć tygodni gipsu, operacja przecięcia ścięgna Achillesa, całe miesiące w szynie przez dwadzieścia trzy godziny na dobę, a potem jeszcze dłuższy okres z szyną zakładaną do spania.

– To cena, którą trzeba zapłacić, żeby zatańczyć na swoim weselu – szepnął, ale jej wcale to nie pocieszyło.

Ruby była zmęczona podobnie jak on. Kolega lekarz miał rację, wytykając mu jeszcze w Sydney, że po operacji oklapł. Nie jest w tej chwili potrzebny Maggie, więc może się położyć. I opowiedzieć Ruby, jak będzie

wyglądało ich wspólne życie? Bo nikomu jej nie odda. Gdzieś w połowie minionego tygodnia podbiła jego serce i tak już zostanie.

Zasili szeregi samotnych ojców? Jak będą sobie radzić? Jak on sobie poradzi? I co ma zrobić z Maggie?

– Myślisz, że to o tym była ta rozmowa w aucie? – zwrócił się do Ruby.
– Czy to tylko moja podświadomość mi podpowiada, że byłoby łatwiej, gdyby mnie pokochała, gdyby oprócz rodzeństwa wzięła i ciebie pod swoje skrzydła? Bo i tak musi tu tkwić przez sześć kolejnych lat.

To się nazywa romantyczne podejście do związku, pomyślał cierpko. A jednak to coś więcej. Czuł...

– Skąd ja mam wiedzieć, co czuję? – zapytał Ruby, obserwując, jak opadają jej powieki. – To prawda, zawróciłaś mi w głowie, a ja cenię niezależność.

Czy można pogodzić niezależność z zatrzymaniem przy sobie Ruby? Co robić, żeby Maggie go pokochała? Jak pokierować karierą, by ją dopasować do życia w rodzinie? I żeby już zawsze byli razem?

Na czym polega niezależność? Coś mu podpowiadało, że to najlepsze rozwiązanie ich problemów, ale drugi głos argumentował, że będzie go to kosztowało dużo wyrzeczeń, nawet gdyby Maggie się zgodziła.

Ale Ruby jest w potrzebie, a tamten pocałunek...

Spoglądał na śpiące dziecko, rozmyślał o dźwigającej na swoich barkach cały świat Maggie, aż doszedł do wniosku, że musi spróbować. Według prognoz dopiero za tydzień będzie można dostać się na drugi brzeg, a on musi wrócić do pracy dopiero za dwa tygodnie.

Przez dwa tygodnie wszystko może się wydarzyć. Można nawet założyć rodzinę? Do tej pory taka myśl nie przychodziła mu do głowy. Skąd się wzięła akurat teraz?

Ma rodziny po uszy, niepotrzebny jej Blake. Powtarzała to sobie przez kilka dni i szczerze w to wierzyła.

W miarę możliwości trzymała swoje stadko po drugiej stronie dębowych drzwi. Siłą rzeczy dzieciaki musiały korzystać z jego salonu, ale pod groźbą śmierci zakazała im Blake'owi przeszkadzać. Gotowała dla nich i karmiła w swojej ciasnej kuchni, oni zaś uważali, że powinna zapraszać również Blake'a, ale wydawało się to jej... niebezpieczne.

Czuła potrzebę odrębności. Przekonywała się, że ten pocałunek, informacja, że zerwał z Miriam... to tylko słodkie kuszenie. Zwabi ją do swojej części domu, rozkocha w Ruby i Maggie znowu znajdzie, się w potrzasku. Facet, któremu podrzucono dziecko, który zastawia pułapkę na opiekuńczą pielęgniarkę... Przypadek? Ha!

Więc musi być stanowcza. Przygotowywanie sobie posiłków to część opieki nad Ruby, to część procesu nawiązywania więzi, który do tej pory postępuje bardzo ładnie. Ona nie chce się w to mieszać.

Od czasu do czasu potrzebuje medycznej porady, a on od czasu do czasu potrzebuje jej rad w kwestii Ruby. Taki kontakt wystarczy, bo cokolwiek więcej ją przeraża.

Ale bracia i siostry wmawiają jej, że zwariowała.

– Jak cię nie ma, to Blake do nas przychodzi i gra w gry, pomaga mi w matmie, a raz nawet pomagał Susie wiązać kokardki na warkoczykach lalek – mówiła Liselle. – Uwielbiamy Ruby. Ale jak go tu zastaniesz, od razu robisz się sztywna, więc wtedy on nie przychodzi. To niefajne.

To prawda, ale tak jest bezpiecznie. Musi zachowywać czujność, musi się bronić za wszelką cenę.

– Z nim mniej się nam nudzi – rzucił Pete z kanapy.

– Chłopaki zjeżdżają po błocie po drugiej stronie doliny. Tom wozi ich

tam autem ojca. Jeśli ojciec Toma uważa, że to okej, to dlaczego ty nie możesz?

Bo ojciec Toma to półgłówek, a Tom za kierownicą to zagrożenie dla wszystkich dokoła, pomyślała, powstrzymując się od komentarza.

– Przecież wiesz, że mama położyła na to szlaban – odparła przymilnym tonem, bo się do tego przyłożyła.

Barbie nie bardzo interesowało, co robią jej dzieci, ale Maggie wiedziała, że gdy ją mocniej przycisnąć, na przykład zagrozić, że przestanie pomagać, można na niej wymusić wydanie dekretu. „Nie będziecie jeździć z Tomem!”

Pete nie może powiedzieć kolegom, że to Maggie się nie zgadza. „Mama mi nie pozwala” łatwiej przechodzi mu przez gardło.

– Ona się nami nie przejmuje – rzucił ponurym tonem.

– Tom powiedział, że przeniosła się do Archiego Hanna. Nawet nie zadzwoniła, żeby zapytać, jak Chris się czuje.

– Mama bardzo się wami przejmuje – zapewniła go słabym głosem – a ty z Tomem nie pojedziesz.

– To chociaż pozwól mi poprosić Blake’a, żeby ze mną pograł. Ta gra wideo jest za trudna dla Chrisa, a Liselle nie chce grać.

– Nie zawracaj mu głowy.

– Dlaczego?

– Bo to nie twoja rodzina – zachnęła się. – On nam tylko wynajmuje mieszkanie. Nic poza tym.

Tydzień ciągnął się w nieskończoność.

Im dłużej most był zamknięty, tym Maggie miała więcej zajęć. Piętrzyły się problemy medyczne. Zorganizowano zrzuty z helikoptera oraz ewakuowano sporo ludzi, którym powódź najbardziej zaszła za skórę.

Wśród nich znalazła się Barbie.

– Archie i ja mamy dosyć – oznajmiła w trakcie pierwszej rozmowy telefonicznej od wypadku Chrisa. – Dzieci wzięłaś do siebie, a gdzie ja mam się podziąć? Lecimy z wizytą do córki Archiego w Sydney.

– Weźmiesz Peta'a? – zapytała Maggie. – Tak mu się nudzi, że boję się, że zrobi coś głupiego.

– Uważasz, że córka Archiego marzy o małolacie? – zdumiała się Barbie. – Na pewno nie. Pete to dobre dziecko. Maggie, za bardzo się przejmujesz.

Koniec rozmowy.

Telefon był w holu, więc gdy się odwróciła, ujrzała Blake'a. Trzeba skończyć z tą wspólną linią. Dlaczego matka nie korzysta z komórki? Dlaczego Blake tak się jej przygląda? I czy matka musi mówić tak głośno?

– Kto to jest Archie? – zapytał.

– Oszołem i nieudacznik, który mieszka na drugim końcu doliny. – Starala się, by zabrzmiało to w miarę beznamyślnie. – Jego żona raz po raz od niego odchodzi, więc on wtedy czepia się mamy. Nie na długo. Kłócą się, żona przyjmuje go z powrotem i wszystko wraca do normy. O ile tę rodzinę można nazwać normalną.

– To znaczy, że jesteś uwięziona.

– To rzeka mnie tak więzi.

– Nawet jak wróci do koryta...

– Dam radę. Po prostu muszę trwać w pobliżu.

– Co z tobą będzie, kiedy sprzedam dom?

Zbladła. Gdzie w rolniczym okręgu znajdzie się kwatery w rozsądnej odległości od jej rodzeństwa? Nigdzie.

– Maggie...

– To mój problem. Ty martw się o Ruby.

– Może moglibyśmy...

– Nic byśmy nie mogli – syknęła. – Nie ma czegoś takiego jak „my”.

Odwróciwszy się na pięcie, przeszła do swojej części domu, zamykając mu drzwi przed nosem. Niegrzecznie. Nawet nie wysłuchała, co miał do powiedzenia.

Nie ma czegoś takiego jak „my”. To prawda, pomyślała, niezależnie od tego, w jaki sposób na nią patrzy. Ona i tak ma już za dużo. Facet z niemowlęciem? Taki przystojny jak Blake? Który tylko dołoży obowiązków?

– Maggie! – wołał Chris zza drzwi. – Pete nie chce mi oddać pilota do telewizora. Powiedz mu coś!

– Pete! – ryknął Blake. – Oddaj bratu pilota, bo przełączę na Mistrzostwa Ligi Kęglarskiej, a potem spalę pilota. Nie żartuję.

Zapadła złowroga cisza. Chwilę później rozległ się śmiech. I znowu w salonie zapanowała cisza.

Maggie się uśmiechnęła, mimo że nie powinna. Bo taki uśmiech miał wiele wspólnego z pomysłem o „nas”. To wyłącznie kwestia manipulacji, a ona ma tego po uszy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Atmosfera stawała się coraz gęstsza. Maggie robiła, co mogła, by rodzeństwo czuło się dobrze i nie zawracało głowy Blake'owi, ale potrzebowali jej również mieszkańcy doliny, więc często musiała wyjeżdżać do sąsiadów.

Fatalna pogoda utrzymywała się dalej. Przyczyną połowy problemów, do których ją wzywano, był nadmiar czasu oraz przerost wyobraźni.

– Maggie, mam guzek na plecach. Boję się, że to rak.

– Maggie, mam dziwną wysypkę na szyi, a w internecie wyczytałam, że świerzb...

– Maggie, słyszałaś o tej strasznej chorobie krów? Jakoba czy kogoś takiego? Jak byłam małą, mama kazała mi jeść mózdzek cielęcy. Może ja to mam?

Do końca powodzi dolinę należałoby odciąć od internetu, pomyślała. Internet to idealna pożywka dla hipochondryków.

Na szczęście miała Blake'a, który genialnie gasił napady tego rodzaju lęków. Pod koniec drugiego tygodnia opracowali system. Maggie odbiera wezwanie telefoniczne i jeśli to coś błahego, jedzie do poszkodowanego. Jeśli rozmówca jest w hysterii i zanoszi się na problem, który można załagodzić rozmową, do rozmówcy jedzie Blake. Zazwyczaj z Ruby, bo sama jej obecność odwracała uwagę i rozpraszała strach.

Jeśli sprawa była naprawdę poważna, jechali razem, ale zdarzyło się to zaledwie dwa razy. Miejscowy farmer zepchnął sobie ciągnik na stopę. Blake potraktował go z kamiennym spokojem i pełnym profesjonalizmem. Pani Southwell dostała rozległego zawału. Nie mogli już jej pomóc. Maggie z

boku obserwowwała, jak Blake stara się ukoić rozpacz nagle owdowiałego pana Southwella, który przeżył ze swoją Amy sześćdziesiąt lat.

Nie ma żadnych „nas”, pomyślała smętnie. Jak by to miało wyglądać? Lekarz z Sydney z niemowlęciem i pielęgniarka z ośmiorgiem rodzeństwa? Więc trzymaj się z daleka. I trzymała się, dopóki znudzony Pete się nie zbuntował, wsiadł do auta z kumplem, który nie miał prawa jazdy, i omal nie zginął.

Telefon zadzwonił, gdy opatrywała nogę pani Chibnell. Odezwała się matka Toma, Cindy Blayne, czarująca kobietka, która wraz z małżonkiem pozwalała synalkowi na wszystko. Tom miał osiemnaście lat, a Maggie bardzo się nie podobało, że Pete się z nim koleguje.

– Maggie?

W głosie kobiety wyczuła strach.

– Co się stało?

– Maggie, Tom dachował.

Wypadek. Prawdziwy koszmar w miejscu odciętym od świata. Już myślała o stanie rannych. Potrzebny będzie Blake, ale nie ma go w domu, bo pojechał do pań Ford, dwóch staruszek, które stwierdziły u siebie żółtaczkę ze wskazaniem na raka wątroby. Dzięki internetowi.

Zadzwoni po niego do pań Ford.

– Gdzie to się stało? Gdzie jest Tom?

– Maggie, nie chodzi o Toma – wykrztusiła Cindy.

– Jak to nie o Toma? – Oblała się zimnym potem.

– Tom zabrał Pete'a – wyznała Cindy łamiącym się głosem. – Wiem, że mama mu zabroniła, ale jej nie ma, więc Tom i Pete... Obaj byli w tym aucie... Tomowi nic się nie stało, ale Pete wypadł i stoczył się nad rzekę, a Tom nie może do niego dotrzeć.

– Doktorze, do pana.

Harriet Ford przekazała mu słuchawkę z powagą dobrze opłacanej sekretarki. Na drugim końcu linii odezwała się inna starsza pani.

– Doktorze, tu Rose Chibnell. Maggie mnie prosiła, żebym pana znalazła. Doszło do wypadku na tym skrzyżowaniu, gdzie rzeka skręca na północ, a szosa się od niej oddala. To auto Toma Blayne'a.

Słyszał już o Tomie. Niesamowite, ile ludzi już zdążył poznać w Corella Valley.

– Jest ranny?

– Jest pan potrzeby Maggie. Dowiedziała się, że Tomowi nic się nie stało, ale podobno jej brat, Pete, był razem z nim w tym aucie. Wypadł z niego, a Tom mówi, że słyszał, jak Pete jęczy, ale spadł nisko i Tom go nie widzi. Czy mam wezwać śmigłowiec? Mogę poprosić, żeby byli w gotowości.

– Tak. I to zaraz.

Przeniósł spojrzenie na dwie zdumione stare panny, którym żółtaczka przeszła jak ręką odjął.

– Mogą się panie zaopiekować niemowlęciem? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, podał im Ruby. – Dziękuję.

Tom siedział na poboczu, nad stromym urwiskiem schodzącym do rzeki. Za szybko wziął zakręt i wypadł na pobocze, które zaczęło się osuwać, auto wpadło w poślizg, więc skontrował, ale za mocno. Auto uderzyło tyłem w barierkę i dachowało.

Miał szczęście, że nie wpadło do rzeki.

Maggie nie myślała o szczęściu, lecz o bracie.

Wyskoczyła z samochodu i pochyliła się nad Tomem. Dotknęła jego ramienia. Gdy otworzył oczy, stwierdziła, że ma zamglony wzrok. Wstrząs.

To nie jest zły chłopak, tylko głupi. Nad okiem rana, z której sączy się krew. Wyglądająca dramatycznie, ale nie na tyle, by Maggie odsunęła na bok nurtujące ją pytania.

– Tom, coś cię boli oprócz rany na czole?

– N... nie – wyjąkał, z przerażeniem spoglądając w dół.

W Maggie serce zamarło. To było nie byle jakie osuwisko. Istna lawina błotna.

– Gdzie Pete?

– Od strony pasażera nie było pasów – wyszeptał. – Zepsuły się w zeszłym miesiącu. Ojciec miał to naprawić... Pete wyleciał.

– Pete jest tam, na dole?! – Zamurowało ją.

– Nie mogę zejść. Próbowałem, ale błoto zjeżdża. Na początku słyszałem, jak jęczy, ale już go nie słychać. Nie mogę... Myśli pani, że nie żyje?

Boże. Jeszcze raz spojrzała na osuwisko. Złożyła dłonie i krzyknęła jak najgłośniej:

– Peeete!

Bez odpowiedzi, ale huk rzeki wszystko zagłuszał. Boże, jak daleko zleciał? Ile tego błota... Które dy...?

Tom płakał, więc chwyciła go za ramię, żeby na nią spojrzeć.

– Musisz mi pomóc – powiedziała. – Znasz tu wszystkie numery telefonów, więc zadzwoń do pani Mayes, a jak nie odbierze, to do Teda Barnes'a albo Freda Hallidaya. Powiedz im, żeby w moim imieniu wezwali śmigłowiec i że potrzebuję tu jak najwięcej facetów. I żeby odszukali doktora Samforda. Tom, zrozumiałeś?

– T... tak.

– To dzwoń. Natychmiast! Schodzę na dół.

– Niech pani tam nie idzie...

– Zejdę brzegiem. Tom, nie mam wyboru. Dzwon!

Spuszczanie się po oślizgłych skałach tuż obok grząskiej masy błota nie było łatwe, było wręcz przerażająco trudne. Schodząc, wołała brata, ale ogarniało ją uczucie coraz większej bezradności. Wszędzie błoto. Jeśli Pete wpadł w błoto, mogło go już zakryć. Albo zepchnąć do rzeki.

Schodziła, płacząc, krzycząc... Było strasznie ślisko, a kamienie usuwały się jej spod stóp.

Zwolnij. Jak się zabijesz, to już nikomu na nic się nie przydasz. Ale nogi jej nie słuchały.

Boże, gdzie on jest?! Robiło się coraz bardziej stromo, ale parła na dół, nie przestając nawoływać. Zatrzymała się na wąskiej półce, by się zastanowić, którądy schodzić, by się rozejrzeć... Jest! W oczy rzuciła się jej jego niebieska bluza. Leżał na skałach, w błocie na samym brzegu rzeki.

– Peeete! – krzyknęła, a on uniósł ramię.

Nie zginął, nie zginął. Tłumiąc płacz, zrobiła z półki krok, by do niego zejść. I wtedy grunt wysunął się jej spod stóp. Zachwiała się i zamachała rękami, by złapać równowagę. Wszystko się ruszało.

– Peeete! – zawołała bez sensu, a potem: – Blaaake! – Jeszcze bardziej bez sensu. W jej stronę toczył się głaz. Potem już nie było nic.

Blake nawet nie zdawał sobie sprawy, że potrafi tak szybko jechać. I tak się bać. Zatrzymał się obok samochodu Maggie, nieopodal przewróconego auta Toma.

– Gdzie Maggie?

– Pete jest gdzieś na dole – odparł Tom, szlochając. – Maggie zeszła go szukać, ale obsypały się kamienie. Słyszałem, jak krzyczała, ale już nie krzyczy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy się obudziła, otaczała ją biel, a ból rozsadzał czaszkę. Mdlilo ją. W samą porę ktoś podsunął jej miskę, a para silnych ramion ją podtrzymała. Usłyszała głos.

– Kochanie, spokojnie. To przejdzie. Uratowaliśmy cię. I zaraz podamy silniejszy środek usmierzający.

Blake. Była zbyt słaba, by zadawać pytania i zbyt skoncentrowana na potrzebach swojego żołądka, ale między spazmami... Blake?

Biel. Blake. Żyje.

Skurcze ustały, miska zniknęła, a czyjeś silne ręce pomogły jej opaść na poduszkę. Ktoś w zielonym stroju, poza zasięgiem jej wzroku, robił zastrzyk. Tyle do niej dotarło. Jedną ręką dostała zastrzyk, drugą trzymał Blake. To jego ręka. Zaraz, zaraz...

– Pete? – wyszeptała, ale brzmiało to jak krzyk.

– Zaliczył złamaną nogę i zwichnięty bark – odparł Blake. – Był operowany, a teraz leży na sąsiednim oddziale.

Sąsiedni oddział. Z trudem zbierała myśli. Oddział. Szpital. Blake. Dzieciaki. Paniczny strach.

– Muszę do domu.

– Nigdzie nie musisz – uspokoił ją łagodnym tonem.

– Ronnie pilnuje dzieciaków. Dzwonią co godzina, żeby o ciebie zapytać. Wszyscy cię pozdrawiają. Kochanie, są okej. Nie otwieraj oczu, dopóki ból nie zelżeje.

Słuszna rada, pomyślała. Należy z niej skorzystać, bo ten ból głowy... Leżała, ulegając mu. Uznała, że da się z nim żyć, pod warunkiem że nie

będzie się ruszać.

- Tętno wraca do normy – odezwał się ktoś z daleka.
- Jesteś pewien, że trzeba ją ewakuować?
- Poradzimy sobie. – To znowu Blake. – Ross jest tego samego zdania.

Ciśnienie nie wzrasta, a ona jest przytomna. Wolałaby zostać tutaj.

Tutaj. Blake. Rodzeństwo.

Odpowiedział na wszystkie pytania. Nadal trzymał ją za rękę, a ona nie zamierzała jej cofać. Ta mocna dłoń pomagała znosić ból, który trochę już zelżał, a w jego miejsce wkradała się mgła. To zdecydowanie lepsze. Mgła gęstniała, ale Maggie nie puszczała ręki Blake'a.

– Śpij – szepnął tuż przy jej uchu. Czuła jego oddech, a nawet delikatne drapanie zarostu na policzku.

Blake. Tutaj. To dobrze. Dlaczego?

- Co się...?
- Dostałaś w głowę. Bardzo mocno. Musieliśmy ci wyciąć małą dziurkę, żeby obniżyć ciśnienie śród – czaszkowe.

– Zrobił to osobiście doktor Samford – oznajmił drugi głos, kobiecy. Gdy uchyliła powieki, zamajaczyła jej postać w zielonym, która mówiła dalej. – Operował cię w tym błocie, żeby obniżyć ciśnienie, które mogło cię zabić. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak tego dokonał. Wszyscy o tym mówią. Maggie, masz wielkie szczęście.

To Mary, domyśliła się Maggie. W miarę jak ból słabł, myślało się jej coraz lepiej, ale w dalszym ciągu nie za dobrze. Dotarło do niej jednak, że zielona postać to Mary Waldorf, pielęgniarka w szpitalu w Corella.

Spadła. Pete. Dziurka w głowie, ciśnienie.

- Dziurka... w czaszce? – zapytała szeptem.
- Śliczna malutka dziurka. Jak tu przyjechałaś, Ross Myers pomagał ją

oczyścić – mówiła Mary. – Ale to Blake uratował ci życie. Ale teraz, Maggie, zaśnij.

– Blake...

– Nie bój się, nie odejdę – obiecał tak zmienionym głosem, że ledwie go rozpoznała. Dalej mocno ścisnął jej dłoń. – Śpij, ile chcesz. Jak się obudzisz, też tu będę.

Spała, budziła się, spała, budziła, a on za każdym razem był przy jej łóżku. Pojawiał się i zniknął w spowijającej ją mgłę. Zapewniał, że jest dobrze. Jego ręka łączyła ją z rzeczywistością. Gdyby nie to, na pewno by dryfowała. Może nawet by zniknęła.

Kiedy ból się nasilał, potrzebowała tej ręki jeszcze bardziej. Wówczas Blake coś mruczał, wokół łóżka robił się ruch, a chwilę później znowu opadała mgła. Ale ta ręka ją trzymała, nie pozwalając, by zniknęła w białej chmurze.

– Śpij – powtarzał Blake, ilekroć się poruszyła. – O nic się nie martw. Maggie, nic nie musisz, możesz spać.

W końcu, gdy mgła odpłynęła, Maggie się obudziła. Trudno to wyjaśnić. W jednej chwili mgła przesłaniała jej wszystko, w drugiej wystarczyło, że otworzyła oczy, a mgły już nie było. Na białej pościeli igrało słońce.

Blake spał w fotelu obok. Wyglądał koszmarnie. Wymizerowany, zarośnięty, wyczerpany. To on powinien leżeć w łóżku, nie ona. Nadal trzymał ją za rękę.

Spojrzała na długie i silne palce, na to, co ich łączy. Przeniosła wzrok na okno. Słońce! Nie pada.

– Dzień dobry, śpiochu – powiedział, uśmiechając się, ale inaczej niż do tej pory. Jak wojownik po bitwie.

– Sam jesteś śpiochem – szepnęła. – To ty spałeś. – Jeszcze raz spojrzała w okno. – Jest rano.

– Owszem.

– Siedziałeś tu całą noc?

– Leżysz w szpitalu dwa dni i trzy noce. – Czekał, aż do niej to dotrze. Dotknęła bandaża na głowie i stwierdziła, że nie ma włosów.

– Trzeba było je zgolić. Trochę się spieszyłem, a jestem słabym fryzjerem. Jak zdejmujemy bandaże, znajdziemy dobrego stylistę.

– Przez jakiś czas będę punkiem?

– Niewykluczone. Z niesymetrycznym irokezem. To było konieczne. Nieźle się walnęłaś.

Zamyśliła się. Blake tymczasem puścił jej dłoń, by nalać wody do dwóch szklanek. Jedną podał jej, obserwując, czy ją utrzyma, po czym sam się napił. Sprawiał wrażenie człowieka, który bardzo tego potrzebował.

– Operowałeś mnie.

– Spotkało mnie... to szczęście. Miałaś potężnego krwiaka. Gasłaś w oczach. We wraku auta Toma znalazłem skrzynkę z narzędziami, a w niej wiertarkę i komplet nowiuteńkich wiertel. Wszystkie rozmiary. Z komórki Toma zadzwoniłem do kumpla, neurologa w Melbourne. Tom trzymał telefon, a ja wierciłem. Dzięki Bogu, ciśnienie od razu spadło. Ekscytujące, nie?

Nieraz była świadkiem wiercenia dziur w czaszkach pacjentów, w sterylnych warunkach sali operacyjnej. Ale zdarzało się, że taka pomoc przyszła za późno.

Miałam cholerne szczęście, pomyślała, ponownie dotykając obandażowanej głowy.

– Dziękuję – powiedziała, a on znowu wziął ją za rękę.

– Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cię potrzebuję – zaczął – dopóki do mnie nie dotarło, że mogę cię stracić. Znam cię tylko dwa tygodnie, więc niemożliwe, żebym potrzebował cię aż tak bardzo, ale taka jest prawda.

– Blake... – Wstrzymała oddech, wpatrując się w jego twarz, i wyciągnęła ramiona, a on wstał i delikatnie ją objął tak, że poczuła bicie serca, które ostatecznie rozwiało mgłę.

– Maggie, musisz za mnie wyjść – wyszeptał.

Świat stanął w miejscu. Wyjść za niego?

Odsunął się, spoglądając jej w oczy, po czym się roześmiał. Wesoło, ale i smutno.

– Okej, cofam te słowa – powiedział, a jej przyszło do głowy, że Blake walczy o normalność, że szuka dla siebie miejsca wolnego od lęku. – To za wcześnie.

– N... nie mogę. – Znowu ta mgła. Z całego serca pragnęła przyjąć oświadczyzny, rzucić mu się w ramiona i tam pozostać, ale odezwała się w niej dawna Maggie, która biła na alarm, nie zgadzając się na tak nieodwracalny krok. – Blake, nie mogę... zebrać myśli.

– Rozumiem. – Przytulił ją i delikatnie pocałował w usta, po czym pomógł jej się położyć. – Kochanie, to zrozumiałe, że nie możesz. Ja też nie mogę. Prawie nie zmrużyłem oka, a ty jesteś nafaszerowana pigułkami. Musimy się zastanowić, wrócić do normalności. – Znowu się uśmiechnął, a ona niemal zapomniała o pulsującym bólu. – Poproszę, żeby ci podali więcej środka przeciwbólowego, a potem sam się prześpię. Ale będę wracał. Teraz i zawsze, obiecuję.

Gdy obudziła się jakiś czas później, zamiast Blake'a zobaczyła Mary, która krzątała się wokół jej łóżka.

– Cześć. Wracasz do rzeczywistości?

– Gdzie Blake? – wyrwało się Maggie.

– Został odesłany do domu – wyjaśniła Mary. – Ross mu zagroził, że jeżeli nie wyjdzie dobrowolnie, wyprowadzi go ochrona. Blake był wykończony, bo przez trzy doby praktycznie nie odchodził od twojego łóżka.

– Trzy doby...

– Och, jaki on przystojny – paplała Mary. – A ta jego mała... Sprowadziliśmy ją tutaj, bo Ronnie uznała, że Blake jest rozdarty. Ross zdecydował, że warto wysłać po nią śmigłowiec. Jaka ona słodka... Podbiła serca połowy personelu. Ale, Maggie, Blake jest cudowny. Szkoda, że nie widziałaś, jakie ma podejście do Pete'a. Pete odchodził od zmysłów, tak się o ciebie bał, więc jak zapadałaś w sen, Blake szedł do niego. Niedługo ci go tu przywieziemy, ale dzięki Blake'owi jest już spokojniejszy. On jest super. Może być starszym bratem dla twojego rodzeństwa, prawie tatą, a ty mamą Ruby. Ross już przebąkuje, że mógłby mu dać pół etatu, tak żeby przez dwa dni pracował tutaj, a przez trzy w Sydney. Maggie, cała dolina życzy wam jak najlepiej.

Minęło jeszcze kilka dni, nim poczuła się w miarę normalnie. Miała niezliczone zadrapania i siniaki, połamane zębra, pakowano w nią antybiotyki i kazano odpoczywać. Raz po raz słyszała, że jest największą szczęściarą pod słońcem. To prawda.

Leżała na szpitalnym łóżku, patrzyła, jak słońce przesuwają się po pościeli, oglądała przestraszone miny odwiedzającego ją rodzeństwa, bo już uruchomiono przeprawę przez rzekę. Wysłuchiwała przeprosin Pete'a, przytulała go, uśmiechała się do Blake'a i ze wzruszeniem obserwowała, jak bawi się z Ruby na jej łóżku.

W dniu, w którym miała wyjść ze szpitala, powiedziała mu, że za niego nie wyjdzie.

Przyszedł sam. Jej bracia i siostry prosili, by to im pozwolono zabrać ją do domu, ale oznaczało to orszak złożony z czworga małych i jednego niemowlęcia, a cały tył auta musiał być zajęty przez Pete'a i jego zagipsowaną nogę. Wszyscy albo nikt, więc Blake wyruszył sam.

Jechał przeprawą, ale nie interesował go ani obniżający się poziom rzeki, ani spustoszenie, którego dokonała. Tego dnia miała zapasć wiążąca decyzja, ale gdy wszedł do pokoju Maggie, od razu się domyślił, co usłyszy.

– Za wcześnie? – rzucił tonem od niechcienia.

Czekała na niego ubrana w dżinsy i luźny skafander, żeby łatwo można było go włożyć przez zabandażowaną głowę. Fryzjerka z Corella Valley ścięła jej resztę włosów na zapalnik. Wyglądała tak absurdalnie młodo i absurdalnie atrakcyjnie, że zapragnął ją objąć, ale jej spojrzenie mówiło „nie rób tego”.

– Nie mogę – szepnęła z żalem.

– Rozumiem. – Podeszedł do łóżka, na którym siedziała, pochylił się i musnął wargami jej usta. Wolałby ją pocałować jak należy, ale się pohamował.

– Nie mogę zostać twoją żoną.

– Tak to zrozumiałem.

– Blake, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Maggie, to jest twoje życie.

– Wcale nie moje. – Tym razem podniosła głos, a on znieruchomiał.

– To dlatego? Bo masz rodzeństwo, bo czujesz się za nich odpowiedzialna? Przecież wiesz, że bardzo chcę z tobą dzielić tę odpowiedzialność.

– No właśnie. Wiem.

Popatrzyła na rzekę za oknem i na odległy kraniec doliny, gdzie stał

dom Samforda, pełny dzieciaków i psów.

– To przez moje marzenia.

– Te puszkowe?

– Nie śmieję się.

– Wcale się nie śmieję. Nigdy się z ciebie nie śmieję.

Przeniosła na niego wzrok, a on miał nadzieję, że w jego oczach wyczyta, jak bardzo ją kocha.

– Wiem. – Westchnęła. – Ale jeżeli za ciebie wyjdę, to marzenie... – Zawahała się, dotknęła opatrunku, jakby bolała ją rana, ale ból spowodowało chyba coś innego.

– Blake, przeżyłeś trzy niesamowite tygodnie. Wziąłeś na siebie odpowiedzialność za siostrzenicę, wpadłeś po uszy w moją rodzinę, zostałeś wyrwany ze swojego normalnego życia, zerwałeś z kobietą, z którą byłeś kilka lat. Wróciłeś do miejsca pełnego złych wspomnień, a ja jeszcze bardziej zamieszałam w twoich emocjach.

Uratowałeś życie mojemu bratu i mnie. Za dużo tych emocji jak na tak krótki czas. Na tej podstawie uważasz, że mam prawo oczekiwać od ciebie, że będziesz mi oddany aż do śmierci? Doświadczyliśmy niezłej huśtawki emocji. Blake, przede wszystkim musisz wyciszyć się i zastanowić, co z Ruby.

– Maggie, potrzebuję cię. Wiem, że to tylko trzy tygodnie, ale jak pomyślałem, że mogę cię stracić... – Czuł, że w jego głosie usłyszała; co wówczas przeżył. – Do tego czasu nie wiedziałem, co to miłość – wyznał. – Dopiero kiedy byłaś bliska śmierci. Jeśli miłość to pragnienie jakiejś osoby...

– Blake, ja nie pragnę. Jestem ci wdzięczna, nawet nie wiesz, jak bardzo, ale nie wyjdę za ciebie, dlatego że cię potrzebuję, nawet jeśli ty pragniesz miłości. Pokochałam cię, ale dla mnie jesteś facetem, który

zaopiekował się dzieckiem swojej siostry, pomógł mi ratować Chrisa i Pete'a, uratował mnie. I który mnie potrzebuje. To nie może stanowić fundamentów trwałego związku.

– Owszem, za to miłość może. Maggie, to idzie w parze. To się da zorganizować. Mógłbym pracować dwa dni w Sydney, a resztę tygodnia spędzać tutaj, w dolinie. Zapelnilibyśmy cały dom dziećmiakami. Mogłyby kursować między nami i waszą matką. Zawsze byłabyś blisko nich, a Ruby miałaby mamę...

Na widok jej miny pojął, że się zagalopował.

– Tak, miałaby – przyznała. – Już zawładnęła moim sercem, ale to nie fair.

– Dlaczego?

– Bo od dziecka słyszę: Maggie, pobujaj braciszka, bo płacze. Maggie, twoja siostrzyczka ma mokro. Maggie, śpij z Liselle, bo ma złe sny. Maggie, w tym tygodniu nie pójdziesz do szkoły, bo Donny ma odrę. Byłam pomocna za każdym razem, bo ich kochałam i dalej kocham. A ty oczekujesz ode mnie jeszcze więcej tego kochania.

– Nie chcesz...

– Oczywiście, że chcę. – Dumnie uniosła głowę. – Bo cię kocham. Gdybyś teraz mnie przytulił.... – Uniosła dłonie w obronnym geście. – Nie rób tego.

– Na pewno?

– Nie wiem – odparła zrezygnowanym tonem. – Blake, naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że brak mi odwagi. Wyszłabym za ciebie, byłoby wspaniale, cała dolina by się cieszyła, dzieciaki szalałyby z radości, uwolniłbyś się od swoich problemów, a Ruby przesłoniłaby mi cały świat, ale któregoś dnia mogłabym zadać sobie pytanie: „Po co zbierałam te

aluminiowe puszki? ”.

– Możemy podróżować. Razem.

– Ale ja mam dosyć bycia razem. – Ugryzła się w język, ale za późno. –
Wiem, że to źle zabrzmiało, ale od dziecka jestem „razem”. Przyjechałeś trzy tygodnie temu, od razu wpadłeś w moje rodzinne układy i uważasz, że to wspaniałe. Ale byłeś „tobą” przez trzydzieści sześć lat, a ja nigdy nie byłam „mną” i za tym tęsknię, chcę się dowiedzieć, jak to jest.

Uznał, że ponaglanie jej nie pomoże jego sprawie, a nawet może zaszkodzić. Musi dać Maggie odetchnąć.

– Blake, ja się boję – szepnęła. – Boję się, że za dziesięć lat obudzę się osaczona jeszcze większą liczbą dzieci, psów oraz przeróżnych dramatów. Będę tego nienawidzić i stanę się zgorzkniałą starszą panią, która wszystkim ma za złe i nadęta zamyka się w łazience.

– W łazience?

– To jedyne miejsce, gdzie mogę zaznać spokoju. Ale nawet wtedy dobijają się do drzwi. „Maggie, pospiesz się, bo musisz mi napisać usprawiedliwienie”. „Maggie, muszę ci opowiedzieć o nowym chłopaku”. „Maggie, zabiję się, jak ten pryszcz nie zniknie”. Nie śmieję się, Blake.

– Już mówiłem, że nigdy nie będę się z ciebie śmiał.

– I nie bądź taki przystojny – mruknęła, spoglądając na niego nieprzychylnie, ale w jej oczach lśniły łzy.

Był dumny z siebie, że jej nie przytulił, ale dużo go to kosztowało.

– Wobec tego co teraz? – zapytał. – Wracamy do planu siedmioletniego?

– Tak. To lepsze niż nic.

– Ja jestem lepszy niż nic.

– To prawda, ale zasługujesz na kogoś lepszego niż kobieta, która

uważa, że małżeństwo to pułapka.

– Nie ożeniłbym się z tobą, gdybyś miała tak się czuć.

Wstała, spoglądając na spakowaną torbę, na pokój szpitalny tonący w kwiatach, chyba od wszystkich mieszkańców doliny, na Blake'a.

– Pora jechać do domu – rzekła. – Pora, żebyś wrócił do Sydney. Pora, żebym znalazła sobie inne mieszkanie.

– Maggie, nie sprzedaję farmy.

– Nie sprzedajesz?

– Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Farmę też pokochałem.

– Nie będziesz tam mieszkał?

– Nie. Nie mogę mieszkać z tobą przez ścianę.

– Zabierzesz Ruby do Sydney?

– Tak.

– Poradzisz sobie?

– Uważam, że tak. – Uśmiechnął się bez przekonania.

– Bez pomocy Maggie. Ale, Maggie...

– Słucham.

– Nie usuwam się z twojego życia. Jestem właścicielem twojego mieszkania i od czasu do czasu będę tam zaglądał. Poza tym polubiłem twoje rodzeństwo. Obiecałem Pete'owi, że zabiorę go do Sydney, a jak skończy szesnaście lat, nauczę go prowadzić samochód. Chciałbym też zorganizować Liselle internetowego korepetytora z matematyki.

– Nie ma takiej potrzeby...

– Jest. To, że nie zostaniesz moją żoną, nie znaczy, że nie wolno mi się angażować.

– Ty chyba mnie rozumiesz.

– Tak – potwierdził z ciężkim sercem. – Wolałbym nie rozumieć, ale

rozumiem. Chciałbym... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, czego bym chciał. – Jedną ręką sięgnął po jej torbę, drugą podał Maggie. – Teraz odwieziemy cię do domu, a ja będę się zastanawiał.

TTLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

U Tildenów święta Bożego Narodzenia zawsze były szalone. Zjeżdżali się wszyscy, więc niewielki dom pękał w szwach.

– Zróbmy te święta u Blake’a – prosiła Liselle. – Ma duży dom i na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

Na pewno, pomyślała Maggie. Przez pół roku stale był obecny w życiu jej rodzeństwa, które traktowało go bardziej jak dobrotliwego wujka niż właściciela domu, w którym mieszka ich siostra.

Przyjechał do Corella Valley dwa razy: by zatrudnić na farmie nowego zarządcę, a nie chciał, by zajmowała się tym Maggie, oraz żeby osobiście obejrzyć nogę Pete’a po zdjęciu gipsu. Były to krótkie wizyty, więc nie przywoził Ruby.

– Mam fantastyczną nianię i zarazem gosposię – poinformował Maggie. – Poza tym zrezygnowałem z funkcji ordynatora ortopedii. W tej chwili w większej mierze jestem wolnym człowiekiem niż szefem, ale za to więcej czasu spędzam z małą.

Z dumą pokazał jej zdjęcia Ruby, ale nie wspomniał o małżeństwie ani o tym, że radzi sobie bez niej, nie wyrzucał jej, że podjęła złą decyzję.

Powtarzała sobie raz po raz, że postąpiła słusznie, ale kiedy dzieciaki rozmawiały z nim przez komórkę, chyba im zazdrościła.

Nonsens. Blake to przyjaciel, do którego chłopcy zwracali się z problemami i za to była mu wdzięczna.

Liselle zdała egzamin z matematyki z najwyższą notą.

– Blake uważa, że mogłabym zostać lekarzem – zwierzyła się Maggie, pękając z dumy. – Pomoże mi.

Zakradł się do ich rodziny. I za to go kochała.

To za mało? Za mało, by zorganizować święta w jego domu. Za mało, by uznała, że popełniła błąd.

Teraz, w świąteczny poranek, obudziła się i po raz tysięczny od wyjazdu Blake'a jej myśli powędrowały ku niemu. Jest w domu matki, dzieli łóżko z Susie, na łóżku obok Liselle, a Blackie and Tip śpią pod łóżkiem. Są wszyscy bracia i siostry.

Jak zawsze osaczona. Zraz wstanie i zajmie się nadziewaniem indyka. Gdy przyjdzie pora wręczania prezentów, wpadnie matka, rozstawi na stole świece albo przyrządzi jakiś nowy koktajl. Niedługo zapewne zjawi się ojciec z ciężarną Sashabelle, oczekując prezentów i nie dając ani jednego.

Ale jest łatwiej. Donny skończył praktykę, a Nickie szkołę z wyróżnieniem i ma trzy wspaniałe propozycje pracy. Dwoje z głowy, jeszcze tylko sześcioro.

Jeszcze sześć lat? Do czego? Do szampana w Paryżu? To marzenie straciło blask.

Robi się zgorzkniała. Lepiej wziąć się do indyka, pomyślała i odrzuciła kołdrę. Nagle znieruchomiała na odgłos ciężarówki, albo nawet kilku ciężarówek, które hamowały przed domem. Niespodziewany łomot poderwał Susie i Liselle na równe nogi.

Znowu łoskot, jeszcze bardziej donośny.

Ku jej zaskoczeniu Susie, roześmiana, rzuciła się do drzwi, ale nagle przystanąła i odwróciła się, jakby o czymś sobie przypomniała. Zawróciła, wyjęła kopertę spod poduszki i podała Maggie.

– Blake prosił, żeby ci to przekazać. Ale mój prezent jest ważniejszy. – Schyliła się pod łóżko, skąd wyciągnęła pokaźną plastikową torbę pełną... puszek. Pustych puszek.

– Mój też – wymamrotała zaspana Liselle. – Mój jest w szafie. Susie, otwórz szafę.

Na podłogę wysypała się kaskada puszek.

– Zbierało całe liceum – wyjaśniła z dumą Liselle. – Przez sześć miesięcy.

W drzwiach do sypialni tłoczyła się reszta rodziny.

A to jest prezent od nas. – Stali praktycznie do pasa w puszkach.

– Jak to...?

– Ja też mam kilka – odezwała się matka, wskazując na dwie torby z miną, jakby miała w nich brylanty.

– Dla ciebie, kochana, musiałam przerzucić się z toniku w butelce na puszkowany. Ale nie żałuję, bo jesteś bardzo kochana.

– Większość jest od Blake'a. – Chris aż podskakiwał z radości. – Chodź zobaczyć!

Pete szeroko otworzył drzwi wejściowe.

– Co ty na to? Blake powiedział, że to od jego szpitala w Sydney. Zbierali przez pół roku. I od całej naszej doliny. Zbierali chłopcy z warsztatu Donny'ego, nasza szkoła, cały uniwersytet medyczny. Blake uważa, że to wystarczy na co najmniej sześć miesięcy...

– Cii! – skarciła go Susie. – Ona jeszcze nie przeczytała listu.

Maggie nie patrzyła na list, bo wpatrywała się w górę puszek. Całe podwórko było nimi zasypane.

– Dwa kontenery okrętowe – oznajmił Pete z dumą.

– Dwa kontenery plus to, co myśmy uzbierali. Maggie, nie masz pojęcia...

– Blake! – wyrwało się jej.

– Przeczytaj list – nalegała Susie, ale straciwszy cierpliwość, wyjęła go

jej z ręki i otworzyła kopertę.

„Kochana Maggie, siedem lat to za długo. Nie ma pewności, czy jeszcze będą serwowali szampana na lewym brzegu, czy piramidy do reszty się nie rozsypią i czy ja wytrzymam. Oto alternatywa. Zważyliśmy te puszki i wydaje się nam, że wystarczą na półroczną podróż. W pojedynkę. Jesteśmy pewni, że będziesz mogła obejrzeć wszystko, co chcesz. Ale zanim zaczniesz protestować, wysłuchaj dalszego ciągu tego planu...”

– Nie muszę czytać dalej – stwierdziła Susie – bo go znam.

– Blake bierze półroczny urlop – odezwała się Liselle.

– To urlop na dziecko, bo chce adoptować Ruby.

– A my możemy mieszkać z mamą albo u niego, jak mama będzie miała nas dosyć – wtrącił Christopher, zerkając na matkę.

– Ronnie obiecała zająć się małą, gdyby Blake poczuł się uwięziony...

– Uwięziony przy dziecku – dokończyła Louise. – My, starsi, będziemy często do was przyjeżdżać. Tyle dla nas zrobiłaś...

– Blake i Ronnie załatwili ci wolne – podsumował Pete.

– Blake powiedział, że bardzo szybko może wyrobić ci paszport. Radzi, żebyś zaczęła od Afryki, bo w Europie jest teraz zima. Oczywiście, decyzja należy do ciebie.

– Blake... – powtórzyła.

– Milion puszek – sapnęła matka. – To wszystko na moim podwórzu. Zmyję mu głowę, jak tylko go zobaczę.

– Czyli teraz. – Na werandzie stał Blake we własnej osobie. Z Ruby na rękach. Wyglądał tak seksownie, że Maggie przeszył dreszcz. – Maggie, jesteś wolna – powiedział cicho. – Twój siedmioletni plan doczekał się realizacji. Dzięki nam wszystkim, bo cię kochamy i chcemy, żebyś wyjechała.

– Ale wrócisz? – zaniepokoiła się Susie. – Maggie, nie zapomnisz o nas? Wrócisz?

Uśmiechał się, a ona żałowała, że jest w pizamie. Wolałaby, by nie otaczała jej rodzina, by nie zalewały jej tysiące aluminiowych puszek, bo teraz najważniejszy był ten mężczyzna. Blake.

– To twoja sprawka.

– Pół roku zebraniny. – Uśmiechnął się. – Mam dług wdzięczności u wszystkich dozorców w Sydney.

– Dzieciaki...

– Zbierały jak szalone. Widzisz, wszyscy chcemy się ciebie pozbyć. Bo wykombinowaliśmy, że jak zwrócimy ci wolność, to do nas wrócisz.

– Jak gołąb.

– Wolałbym gołębicę – uściślił Blake. – Piękną białą gołębicę. Liselle, weźmiesz na chwilę Ruby? Nie widzę tu jemioly, ale na pewno jest gdzieś niedaleko. Muszę na pożegnanie pocałować waszą siostrę.

– Pożegnanie...

– I żadnych obietnic – zaznaczył.

Oglądała żyrafy na afrykańskiej sawannie, słyszała ryk lwów. Napisała o tym Blake'owi, a on wysłał jej zdjęcia Ruby. Jeździła na wielbłądzie pod piramidami. Blake odwzajemnił się zdjęciem, na którym siedzi na koniu. Jego instruktorką była Liselle.

Patrzyła na stosy pogrzebowe nad Gangesem, a on ostrzegał ją przed pasożytami jelitowymi. Gdy przysłał jej zdjęcie z uroczystej kolacji w szpitalu, na którym obok niego siedziała Mary, pomyślała...

Nie warto myśleć. Jest wolna.

Stąpała po Wielkim Chińskim Murze, piła guinnessa w irlandzkim pubie, nurkowała w turkusowym morzu wokół wysp greckich, spacerowała

po oszałamiająco barwnych bazarach w Stambule, Kairze, Maroku. Rozglądała się, smakowała, wdychała zapachy i słuchała. Piła wino nad Sekwaną.

Każdego dnia wszystko opisywała rodzeństwu. Czasami ich to zaciekawiało, ale najczęściej woleli opowiadać o tym, co im się przytrafiło. Prawie co wieczór rozmawiała z Blakiem, który okazywał szczere zainteresowanie, zadawał pytania, a potem opowiadał o Corella Valley i jej mieszkańcach z miłością i dumą. Ale im dłużej pozostawała daleko od domu, tym częściej się zastanawiała, czy realizując jedno marzenie, nie zaprzepaszcza drugiego.

A jeśli popełniła błąd?

Nie, podjęła słuszną decyzję. Kocha to, co robi z całego serca, ale Blake... Blake, szeptało serce, Blake...

Pół roku później, gdy zmęczona podróżą przez kilka stref czasowych wysiadła na lotnisku w Sydney, Blake na nią czekał. Sam.

– Moja ukochana! – powitał ją z rozpostartymi ramionami.

Zostawił Ruby pod okiem Ronnie, by mogli we dwoje spędzić tę noc w jego mieszkaniu w Sydney.

Gdy wyszła z łazienki, przepasany fartuchem mieszał coś w garnku na kuchni, a gdy posłał jej uśmiech, uznała, że nieważne, że z czystych rzeczy zostały jej tylko legginsy i bluza. Równie dobrze mogłaby na sobie nic nie mieć.

– Czy teraz za mnie wyjdiesz? – zapytał, a gdy znieruchomiała, mruknął: – Zdaje się, że znowu przegiąłem. Cierpliwość nie jest moją najsilniejszą stroną. Pomyślałem: kolacja, szampan, w tle jakiś romantyczny kawałek, ale masz taką minę, że... nie mogę. – Zdjął fartuch i do niej podszedł, po czym wziął ją za rękę. – Teraz już wiem, na czym polegał błąd.

Miałem dużo czasu, żeby to przemyśleć. Na tym, że powiedziałem, że cię potrzebuję. Może i tak jest, ale przede wszystkim ja cię kocham. Od pierwszego wejrzenia. Czy przebolejesz brak skrzypiec i róż? Czy potrafisz zapomnieć, że kiedykolwiek cię potrzebowałem, i po prostu mnie kochać?

Co mogła odpowiedzieć?

– Kocham cię od dawna – wyszeptwała.

W jego spojrzeniu było tyle miłości, że nabrała przekonania, że więź, która ich połączyła, będzie trwała wiecznie.

– Nie proszę, żebyś została mamą Ruby. Załatwiłem...

– Ciii... – Położyła mu palec na wargach. – A ja nie oczekuję, że będziesz jak starszy brat dla mojego rodzeństwa, chociaż wydaje mi się, że już nim jesteś. Ruby zarówno twoja, jak i moja.

– Maggie, prosić, żebyś nas przygarnęła...

– Ja was nie przygarniam – mówiła wzruszona. – Ja was kocham.

– Pół roku temu...

– Zmieniłam się.

Miała sześć miesięcy, by nabrać pewności, do kogo należy jej serce.

– Od dziecka byłam otoczona miłością, w pewnym sensie zniewolona. Blake, to co dla mnie zrobiłeś... uwolniłeś mnie, żebym mogła wybrać miłość. Przez sześć miesięcy podróżowałam sama, ale nie osamotniona. W tle miałam rodzeństwo, miałam Ruby, całą tę dolinę. Byli moją ostoją, dawali mi pewność, że gdziekolwiek się znajdę, mój dom jest tutaj. Ale najwięcej dałeś mi ty, mój kochany.

– Maggie, jesteś pewna?

– Jak nigdy dotąd.

– Już wiem, jak to zorganizujemy. Dopóki Ruby nie pójdzie do szkoły, będę pracował na pół etatu. Bo to mój obowiązek, nie twój.

– Wobec tego ja też wezmę pół etatu. Żebyśmy mogli dzielić się obowiązkami.

– Maggie...

– Blake, nie mogę wyjechać z Corella Valley.

– To oczywiste. Tak się szczęśliwie składa, że mamy tu piękny dom oraz zapotrzebowanie na naszą pracę. Już się zaprzyjaźniłem z personelem tutejszego szpitala.

– Chcesz tu zostać?!

– Corella Valley potrzebuje ortopedy oraz czarującej pielęgniarki położnej. Nie uważasz, że to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności?

– Nazywasz to szczęściem? To przeznaczenie.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Maggie, kocham cię nad życie i będę kochał aż do śmierci. Ale czy teraz wrócisz ze mną do domu?

– Coś się przypala.

– Maggie...

– Tak – odrzekła z przekonaniem, zarzucając mu ręce na szyję. Liczy się tylko to. Kto by się przejmował, że spłonie cały budynek? – Pewnie jeszcze wybiorę się w jakąś podróż, ale na to muszę zbierać sporo puszek. Tym razem dwa razy więcej, bo tam gdzie ja, tam ty. Plus Ruby. I wszyscy, którzy nas potrzebują.

– Będzie bardzo dużo zbierania – zauważył. – Ciekawe, czy przyjmują butelki od szampana?

– Na pewno. – Swąd zaczynał dawać się we znaki. – Blake, kolacja...

Westchnął teatralnie, ale dwoma susami znalazł się przy kuchence, by wyłączyć gaz.

– Katastrofa zażegnana – oznajmił. – Nie w głowie mi teraz kolacja. –

Niósł ją do sypialni. – Maggie, kobieto moich marzeń, czy zostaniesz moją żoną?

– Oczywiście, bo jesteś moją największą miłością.

Tymczasem w Corella Valley...

– Dwieście trzy – zameldowała z dumą Susie, spoglądając na stertę puszek.

– Czteryście sześćdziesiąt – pochwalił się Chris. – Liselle mówi, że jej koleżanki zebrały tysiąc. Jak myślisz, ile ich trzeba, żebyśmy wszyscy pojechali?

– Pewnie kilka bilionów. To dla nas żaden problem. Ale się Maggie ucieszy...

– Maggie i Blake – uściślił Chris. – Ale masz rację. Musimy się postarać.

– Mamy czas – zauważyła Susie. – Jak będziemy zbierać i zbierać, to będziemy mogli robić, co chcemy. Myślisz, że się zezłoszczą, jeśli na powitanie Maggie zapchamy jej pokój puszkami?

– Coś ty! – Chris wzruszył ramionami. – Oni mają pełno pokoi. Od teraz wystarczy im jeden.

– Naprawdę?

– Taa... – zapewnił ją, kierując się wiedzą trzynastolatka. – Czuję, że Maggie już nie chce być sama.